

odgłosy



Nr 6 (310)
9 II 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: **Wspomnienia o Stanisławie Piętaku** • **Kasprowicz-Romans na przedmieściu** • **Nadolski-Zwierzenia archeologa** • **Punch-Po przesławnym Ianu** • **Dunin-Karłowat 1886** • **Recenzje** • **felietony** • **Polonica**

diamen-
towa
gitara

TRUMAN CAPOTE



Od najbliższego miasteczka do ośrodka więziennego będzie jakieś dwadzieścia mil. Między ośrodkiem i miasteczkiem rozciąga się wiele lasów sosnowych i tu, w tych lasach więźniowie pracują nad uzyskiwaniem terpentyny.

Sam ośrodek jest w lesie. Można go znaleźć na końcu drogi czerwonej i wyboistej. Otoczony jest kolczastym drutem rozciągniętym, jak dzikie wino, na ścianach. Żyje tu setka białych, dokładnie stu dziewczęciu, dziewięćdziesięciu siedmiu Murzynów i jeden Chińczyk. Znajdują się tam dwa baraki sypialne, wielkie, zielone drewniaki pokryte smołowaną papą. Biali zajmują jeden drewniak, Murzyni i Chińczycy drugi. W każdym sypialnym baraku stoi jeden wielki, gliniany piec, ale tutaj zimny są mroźne i w nocy kołyszace sosnami i ścięte lodowatym mrozem mężczyźni leżą wyciągnięci na swoich żelaznych przyczach i światło pada na nich i barwami ognia tańczy im w oczach. Mężczyźni, których przyczę stoją najbliżej pieca, są najważniejsi, ci mężczyźni mają posłuch i szacunek.

Pan Schaeffer jest jednym z nich. Pan Schaeffer — bo tak go tutaj nazywają — cieszy się specjalnym szacunkiem. Jest mężczyzną zrównoważonym i chudym. Ma czerwone, srebrzące się włosy, twarz czujną, skupioną, nie ma w niej mięsa, można by obserwować pracę kości, kiedy porusza nią, oczy mają nędzną, posępną barwę. Umie czytać i pisać, umie poić ludzi idących w kolumnie. Kiedy ktoś otrzyma list, zaraz przynosi go do pana Schaeffera. Większość tych listów jest smutna i pełna utyskiwań; bardzo często pan Schaeffer improwizuje wiadomości przyjemniejsze i nie czyta tego, co jest tam na kartce napisane. W baraku sypialnym jest oprócz niego dwóch mężczyzn, którzy potrafią czytać. Ale i tak jeden z nich przynosi swoje listy do pana Schaeffera, który nie jest wobec nikogo zobowiązany do czytania prawdy. Sam pan Schaeffer nie otrzymuje nigdy listów, nawet na Boże Narodzenie; wygląda na to, że nie ma przyjaciół za drutami. Ale zawsze tak nie byt.

Od tej zimowej niedzieli, kiedy pan Schaeffer siedział na schodkach baru sypialnego wycinając lalkę, minęło już kilka zim. Do takich rzeczy ma smykałkę. Jego lalki są wycinane z oddzielnych części, potem wiąże je kawałkami sprężynowych drutów, ramiona i nogi są ruchome, głowa kręci się.

Kiedy już zmałstruje z tuzin czy więcej lalek, naczelnik ośrodka zabiera je ze sobą do miasteczka i tam są sprzedawane na rynku. W ten sposób pan Schaeffer zarabia pieniądze na tytoń i łakocie.

Właśnie tej niedzieli, kiedy siedział i zmałstrował małe palce dla lalki, suka-

więzienna wtoczyła się na podwórko. Młody chłopak, przykuty za rękę do naczelnika wyskoczył z sukki i mrugał w zimowym, upiornym słońcu. Pan Schaeffer obciął go tylko. Miał wtedy pięćdziesiąt lat, a z tego siedemnaście spędził w ośrodku. Kiedy przyjeżdżał nowy więzień, nie chciało mu się podnosić z miejsca.

Niedziela jest wolnym dniem w ośrodku. I ci, którzy się waleśali po podwórzu zaczęli tłoczyć się teraz wokół więziennej sukki. Pick Axe i Goober zatrzymali się zaraz przy panu Schaefferze. Pick Axe powiedział: „On jest cudzoziemcem, ten nowy. Z Kuby. Ale ma włosy żółte”.

„Nożownik, tak mówił naczelnik”, powiedział Goober, który był sam nożownikiem. „Porządną marynarza w Mobile”.

„Dwóch marynarzy”, powiedział Pick Axe. „Ale cała kawiarnia stanęła po jego stronie, przecież nie zranił nawet tych chłopaków”.

„Jak to, człowiekowi uciąć ucho to nie, i ty to nazywasz, że go nie zranił? Dali mu dwa lata, naczelnik tak mówi”.

Pick Axe powiedział, „On ma gitarę całą wysadzaną brylantami”.

Zrobiło się ciemno i trudno było pracować po omacku. Pan Schaeffer zesta- wił część lalki i trzymając ją za małe ręce oparł zabawkę na kolanach. Potem skrzył papierosa; w zmierzchu sosny były niebieskie, dym z papierosa wpel- zał w chłodne, ciemniejące powietrze. Widział jak naczelnik idzie przez podwórko. Nowy więzień, młody blondynek włókł się krok po kroku za nim.

Niósł gitarę wysadzaną szklanymi dia- mantami, która rzuciła gwiazdzące bla- ski, jego nowy mundur był za duży na niego i wyglądał trochę na włosienicę świętego.

„Pasuje”, powiedział naczelnik do Schaeffera, zatrzymując się na schodkach sypialnego baru. Naczelnik nie był twardziel; była okazja, to zaprosił Schaeffera do swojego gabinetu i mogli gadać o tym, co tam stoi w gazecie. „Tico Feo” przedstawił nowego tak, jak- by to było imię ptaka lub tytuł piosenki. „To jest pan Schaeffer. Trzymaj z nim, dobrze na tym wyjdiesz”.

Pan Schaeffer zerknął na chłopaka i uśmiechnął się. Uśmiechał się do niego dłużej niż miał zamiar, ponieważ ten chłopak miał oczy jak szlaki niebieskie, jak zimowy wieczór — i włosy miał złote jak zęby naczelnika. Miał morową facjatkę, sprytną, unerwioną, i pan Schaeffer patrząc na niego pomyślał o świętach i przypomniał sobie dobre dni.

„Jest podobna do mojej siostry”, po- powiedział Tico Feo, dotykając lalki pana Schaeffera. Jego głos z kubańskim akcen-

tem był miękki i słodki jak miąższ ba- nana.

„Trzyma się na moich kolanach rów- nież”. Pan Schaeffer zrobił się nagle nieufny. Przeglądał się w kierunku na- czelnika i wyszedł w cienie podwórza. Stał tam szepcząc imiona otwierających się nad nim jak kwiaty gwiazd. Rozko- szował się gwiazdami, ale tego wieczora nie zadawała go; nie były w stanie przekonać go, że to, co się tu na tej zie- mi ludziom zdarza, jest zagubione w nie- skończonym blasku wieczności. Wpatru- jąc się w nie — w gwiazdy — myślał o wysadzonej brylantami gitarze i jej bla- sku.

O panu Schaefferze można by powie- dzieć, że zrobił w swoim życiu właści- wie jedną paskudną rzecz: zabił czło- wieka. Okoliczności są nieważne, poza tym, że należałoby nadmienić, że ten człowiek zasłużył na to, aby umrzeć, i za to pan Schaeffer dostał dziewięćdziesiąt lat i jeden dzień. Przez chwilę — przez wiele lat — faktycznie nie za- stanawiał się nad tym, co go tutaj spro- wadziło do ośrodka więziennego. Jego pa- mięć tamtych czasów była jak dom pu- sty, gdzie gniją meble. Ale tego wieczora było tak jakoś, jakby ktoś lampy zapa- lił we wszystkich ciemnych, martwych pokojach. Zaczęło się to wtedy, kiedy zobaczył Tico Feo idącego mrokiem, ze swoją znakomitą gitarą. Od tej chwili nie był już samotny.

Teraz, kiedy rozpoznał swoją samo- tność, poczuł, że żyje. A miał już gdzieś takie życie. Być żywym znaczyło zachować pamięć brązowych rzek z pluska- jącymi rybami i pamięć światła stoncz- nego na włosach kobiety. Pan Schaeffer zwiesił głowę. Gwiazdy przypominały je- go oczom wodę. Barak sypialny jest prze- ważnie posępnym miejscem z mocnym zapachem męskich ciał w świetle dwóch nieocienionych żarówek. Ale z przyby- ciem Tico Feo zdarzyło się coś takiego jakby tropikalny monsun zawitał do zim- nego pokoju, bo kiedy pan Schaeffer wrócił ze swojego strażowania gwiazd, zobaczył scenę wspaniałą i dziłą. Tico Feo siedział na przyczę ze skrzyżowanymi po turecku nogami i szczyptał dłu- gimi władczyimi palcami gitarę i śpiewał piosenkę, która brzmiała tak wesoło jak brzęczące, pełnowartościowe monety. Jak-



dalszy ciąg na str. 6

HENRYK KATZ

CZY MARKS był POLONOFIEM?

Sprawa wydaje się od dawna rozstrzy- gnięta. Jeszcze za życia Marksa jego anarchiści przeciwnicy atakowali go z powodu szczególnych propolskich sym- patii. W Polsce w sprawie tej nie było wątpliwości od czasu, gdy w 1904 roku opublikowano pn. „Odbudowanie Polski” zbiór pism Marksa, Engelsa i Liebknech- ta. Po wojnie ukazały się nowe prace współczesnych historyków analizujące tę sprawę. A jednak słychać głosy podwa- żające pogląd o polonofilstwie Marksa. Tu i ówdzie znaleźć można — w szcze- gółności w jego korespondencji — pew- ne krytyczne uwagi pod adresem Pola- ków i nimi to szermują opozycjoniści. Ar- gument niepoważny, gdyż decyduje analiza całości, a nie fragmentów, nie mówiąc już o tym, że przypisuje się mylnie Marksovi pewne wypowiedzi Engelsa, który zresztą też ma za sobą długą kartę życiowości i przyjaźni dla Polak. Po- ważniej jednak potraktować należałoby argument następujący: „Marks traktował sprawę uciśnionej i zniewolonej Polski jedynie jako teren, którym chciał gdzieś w pewne mocarstwa będące największą przeszkodą na drodze rozwoju rewolucji społecznej. Droga dla niego była sprawa rewolucji, a sprawa wyzwolenia Polak była pochodną, traktowana więc była ja- ko środek walki o realizację celu głów- nego. Stosunek Marksa do Polak był więc podyktowany zimnymi kalkulacjami. Po- lonofilstwo oznacza natomiast przede wszystkim stosunek emocjonalny, przy- jaźń i umiłowanie Polski płynące bar- dziej z serca niż z rozumu. Takiej kwalifi- kacji stosunkowi Marksa nie można przyznać i nie można go stawiać w rze- dzkie wielu prawdziwych przyjaciół Pol- ski w okresie jej niewoli”.

Nie zgłaszamy sprzeciwu wobec takiej definicji polonofilstwa.

Ale śmiemy twierdzić, że sympatie Marksa dla Polak i Polaków datują się od jego wczesnej młodości i miały silne podłoże emocjonalne. Marks był Nadreń- czykiem, Nadrenia przyłączona została do Prus dopiero w 1815 roku, a z tą nową przynależnością państwową Nadreń- czycy długo nie mogli się pogodzić. No- wo wprowadzone instytucje, inwazja urzędników ze Wschodu, ograniczenie zdobyczy okresu rewolucyjnego (gdy Na- drenia należała do Francji) — wszystko to budziło gniew i opór. Na tym tle wy- rastała naturalna sympatia i solidarność między Nadreńczykami a Polakami, ży- jącymi pod zaborem pruskim. Gdy Marks miał 13 lat w Królestwie Polskim wy- buchło powstanie listopadowe, a po jego klęsce uchodźcy wędrowali na Zachód przez miasta niemieckie. W tym też i przez Trewis, gdzie witano ich niezwykle gorąco. Karol Marks był dzieckiem swe- go środowiska, wchłonił nienawidź do Prus i innych zaborców. Polski razem z umiłowaniem dla wolności ludzkiej, abstrakcyjnie jeszcze pojętej. Dopiero póź- niej, gdy skryształizował się już jego światopogląd i ideologia polityczna, po-

dalszy ciąg na str. 3

odgłosy W świecie



LIST z PARYŻA

Przedstawiciel Francji w ONZ Seydoux, na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa w sierpniu 1964 r. powiedział: „Mało istnieje tradycji tak starych i tak związanych z historią mego kraju, jak idea równości rasowej. Gdziekolwiek panuje prawo i obyczaj francuskie, dyskryminacja rasowa nie ma prawa obywatelstwa. Nie ma żadnej potrzeby stosowania zakazów, czy przepisów regulujących tę sprawę, tak oczywista i jednoznaczna jest tu postawa Francuzów”. I dodał: „Przyjdźcie do nas, a przekonacie się”.

Od tej chwili WII mot Alfred Fraser marzył o poznaniu tego kraju „równości, wolności i braterstwa”.
Lecz już pierwsze zetknięcie z rzeczywistością, przekonuje go, że sprawa wygląda inaczej. W pociągu do Paryża, usłyszał: „Za dwa lata cały Paryż będzie zaludniony przez Czarnych”. Następnie przytknięty zaczął się przyglądać pokojowi. Zwracał się telefonicznie do różnych agencji pośredniczących w wynajmie mieszkań. Wszędzie odpowiadało: „Niech pan przyjdzie natychmiast, z pewnością znajdziemy coś odpowiedniego”. Sytuacja zmieniła się jednak, gdy zjawiał się osobiście. „Przybył pan za późno, pokój już wynajęty”, lub „Złe zrozumiałem pana przez telefon”. Wszędzie ta sama reakcja, to same wykręty, na widok czarnej twarzy.
Doprowadzony do ostateczności Fraser, zatrzymuje na uli-

cy Murzyna i pyta czy uda mu się wynająć pokój w Paryżu. „Za pośrednictwem agencji, to wykluczone — odpowiada nieznajomy — prywatnie, jeśli będzie pan miał szczęście, może znajdzie pan jakąś nore na przedmieściu”.
Seydoux był wstrząśnięty relacją Frasera — nie mógł uwierzyć. Zadzwoił do agencji mieszkaniowej — spotkało go to samo, gdy na końcu rozmowy dodał „Jestem Murzynem”. Był zawstydzony i zupełnie złał się.
Podobnie postępowali taksówkarze. Omijał Murzyna, by kilka metrów dalej zatrzymać się dla Białego.
„Tak więc w Paryżu spotkałem to samo, co znam dobrze z USA — kończy swój list Fraser. — Jesteście narodem starym, dumnym i mądrym. Być może nie uwierzycie cudzoziemcowi. A więc, sprawdźcie sami. Podnieście słuchawkę telefonu i nakrećcie numer pierwszej lepszej agencji pośredniczącej w wynajmowaniu pokoi...”

notatki na marginesie

ORZECH
„The New York Times” podaje:
— Stany Zjednoczone mają ponad 4 miliony bezrobotnych, a ludność wzrasta o 3 miliony rocznie. Po to jedynie, aby sytuacja nie uległa pogorszeniu, kraj musi corocznie zapewnić 1.250.000 wolnych miejsc pracy.
Poza tym trzeba będzie znaleźć jeszcze jeden milion wolnych stanowisk dla ludzi, którzy stracą do końca tego roku zajęcie, wskutek rozwijającej się w fabrykach automatyzacji.

JOHNSON
W ostatniej ankiecie Gallupa zapytano:
— Na kogo oddasz swój głos w wyborach prezydenckich?
W pojedynku Johnson — Cabot Lodge, Johnson uzyskał 68 procent głosów, w pojedynku z Nixonem, na Johnsona padło 71 procent głosów. Jeszcze gorzej powiodło się Rockefellerowi i Goldwaterowi, padło na nich od 16 do 18 procent głosów.

TOWARZYSZE BRONI
Z zapoznania wynurzył się Horio Sima, szef nazistowskiej Żelaznej Gwardii, były premier „rządu rumuńskiego na emigracji”.
Sima pojawił się w hiszpańskim mieście Majadahonda. Widziano go w towarzystwie frankistowskich generałów.
Do Hiszpanii przybył również Moise Czubie, były prezydent Katalonii. Czubie zamieszkał ze swą bardzo ładną żoną w posiadłości pod Madrytem.

SIC TRANSIT GLORIA MUNDI
Po bardzo długiej nieobecności Churchill pokazał się w Izbie Gmin. Przy pomocy młodszych kolegów z partii konserwatywnej zajął swe ulubione miejsce w samym kącie sali.
To była ostatnia wizyta Churchilla w angielskim parlamencie. Mowy, jakie tam wygłaszał podczas II wojny światowej są po dziś dzień uważane w krajach anglosaskich za niedościgniony wzór oratorskiego kunsztu; pasji i stylizowanej precyzji.
Churchill, dziś 89-letni starzec, błądził jak płótno, przez cały czas miał wzrok ukiewniony w ławki członków parlamentu z ramienia Labour Party.
Do wyjścia odwołano Churchilla dwutygodniowym woźkiem. Churchill w tym roku wycofał się definitywnie z życia publicznego.

DE GAULLE
Kto wie czy uznanie Chin Ludowych przez Francję, nie jest między innymi formą odwetu de Gaulle'a na prezydencie Stanów Zjednoczonych.
Wielu publicystów amerykańskich zaczyna snuć przypuszczenia, że przyczyną niepowodzenia polityki Białego Domu jest niedocenianie roli de Gaulle'a we współczesnym świecie.
Pierwszy polował się w błędzie Eisenhower i odbył w ciągu 8 miesięcy aż 3 podróże do Paryża. Uczył się z tego poć. De Gaulle sformułował już własny program działania, niezależny od mocarstw anglosaskich. Kennedy również udał się do Francji za późno. De Gaulle zdążył przedtem zatrzasnąć przed Wielką Brytanią drzwi do Wspólnego Rynku.
Po pogrzebie Kennedy'ego, de Gaulle rozmawiał przez kilka minut z Johnsonem.
Ugodniono, że oficjalne spotkanie nastąpi w ciągu paru tygodni. De Gaulle chciał widzieć Johnsona w Paryżu. Johnson na to nie przystał. W drodze kompromisu de Gaulle zaproponował Martynkę, jako miejsce spotkania. W pierwszych dniach stycznia Johnson, jak słychać, odrzucił i tę sugestię de Gaulle'a. W grę wchodził prestiż.
Martynka, choć położona w połowie drogi z Waszyngtonu do Paryża, znajduje się we władaniu Francji.
W 3 tygodnie po odmowie Johnsona de Gaulle uznał Chin Ludowe.
Część prasy amerykańskiej jest zaniepokojona. Dość zdziwienia go przyszkaki w rozważeniu go przez wielkimi w rodzaju „afrykański, europejski, azjatycki, chiński...” pora wziąć de Gaulle'a na serio i rozpoznać z nim rundę poważnych rozmów.
Z de Gaulle'em ani jeden prezydent Stanów Zjednoczonych nie wygrał dotychczas ani jednej rundy. Czy dokona tej sztuki Johnson? Spór trwa. Biały Dom jest bezradny, odpada przecież możliwość presji ekonomicznej w stosunku do Francji. „Banque de France” zgromadziła rezerwy przekraczające 4 miliardy dolarów.

OSTATNIA PRZYGODA FERDYNANDA LESSEPSA

Mijają dokładnie 84 lata od chwili, kiedy pierwsze uderzenia oskarżonych zapoczątkowały „sprawę” Kanału Panamskiego — sprawę niezwykłą i dramatyczną.

Kilkadziesiąt tysięcy Francuzów wzięło udział w subskrypcji, która zgromadziła sumę ponad 30 milionów franków w złocie na to nowe, gigantyczne przedsięwzięcie twórcy Kanału Sueskiego Ferdynanda de Lessepsa, liczącego wówczas już 75 lat, o którym Renan mówił, że obok Lamartina był najpopularniejszą postacią swego stulecia.

Urodzony w Wersalu w roku 1805, w wieku lat pięćdziesięciu, porzuca karierę dyplomatyczną, by osiąść w swojej posiadłości w La Chesnaye, z której uczynił wzorową fermę. Kiedy syn Mahometa Ali, został władcą Egiptu zwrócił się do Lessepsa z propozycją przebudowania kanału długości 168 kilometrów, który by połączył Suez nad Morzem Czerwonym z Port Saidem nad Morzem Śródziemnym. Otwarcie kanału nastąpiło w roku 1869. Był to wielki triumf Lessepsa, który „otworzył ziemię narodom”. Pospały się ordery, odznaki honorowe — stał się on w oczach całego świata „Wielkim Francuzem”.
Ale był jeszcze na świecie drugi przesmyk do przebudowania

Panama. Długość zaledwie 80 kilometrów, a oszczędność w nawigacji około 5 tysięcy kilometrów, dzięki skrótowi pozwalającemu na ominięcie przylądka Horn. Pomysł ten podniecał wyobraźnię żeglarzy od czasów Karola V.
„Popelnilem już jedno szaleństwo — powiedział Lesseps — to Suez. Popelnię jeszcze jedno. Mam nadzieję, że będę żył dość długo, bym zdążył udowodnić, że w tym szaleństwie jest metoda”.

Jednak tym razem przedsięwzięcie przyniosło przykre niespodzianki. Z 21.000 Francuzów zatrudnionych przy przebijaniu Kanału Pa-

namskiego w latach 1880—1886, 16.000 zmarło, na skutek morderczego klimatu Panamy. Żółta febra dziesiątkowała ludzi. Sprostowano też bardzo szybko, że kapitały zaangażowane w tę imprezę (658 milionów) są niewystarczające. Tereny u stóp góry Culebra, wydawały się łatwe do przebudowania, lecz już przy pierwszych uderzeniach motyki otworzyło się piekło kipiące i grząskie, do tego przez siedem miesięcy nie ustawały deszcze, a rozlana rzeka pokrywała wodą całą okolicę. W roku 1885 Lesseps zwrócił się do Zgromadzenia Narodo-

wego z prośbą o wydanie akcji na dalszych 600 milionów. Tymczasem, że z chwilą otwarcia kanału, wszystkie wydatki zamortyzują się w ciągu najdalej dziesięciu lat. Obliczał, że w chwili otwarcia kanału jego przelotowość wynosząca będzie do 7 milionów ton rocznie. Cyfrę tę uważano wówczas za utopię, i stawiano następnie jego obliczenia jako jeden z głównych zarzutów przeciw Lessepsowi. Dziś jest ona dziesięciokrotnie wyższa.

Gdy zabrakło pieniędzy na ukończenie kanału, dwóch podejrzanych finansistów, baron de Reinach i Cornelius Hertz, niezbyt uczciwymi metodami usiłowali rozprzedać dalsze akcje. Jednak pieniądze wzięły nie starczało, trudności się mnożyły. Wkrótce bankructwo przedsiębiorstwa — wywołało skandal na skalę światową. Samobójstwo Reinacha, pojętynek Clemenceau-Derude, w rok pięć lat więzienia dla Ferdynanda Lessepsa oraz dla jego syna Karola — oto żalony finał śmiałego przedsięwzięcia. Syn znalazł się w więzieniu, ojcu oszczędzone zostało to upokorzenie. Gdy w 1894 zmarł Ferdynand de Lesseps, pogrzeb jego odbył się z wszystkimi honorami.

40 ton dynamitu rozsądziło w Gamboa ostatnie przeszkody i otworzyło przejście kanału. Ale Lesseps już tego nie widział, ani Francja nie uczestniczyła w pływających z tego zyskach. Działo się to 10 października 1913 roku. Dzieła rozpoczęte przez Lessepsa dokończyli Amerykanie, którzy w roku 1902 odkupili kanał od zbankrutowanej spółki akcyjnej francuskiej.

Opracowała I. Z.



Karykatura przedstawiająca Lessepsa, wydrukowana nazajutrz po otwarciu Kanału Sueskiego. Pierwszy „cud” spełnił się, drugi zamienił się w katastrofę.

PALIC CZY NIE PALIĆ?

W ostatnich 10 latach zmarło w samych tylko Niemczech zachodnich 82.000 osób na raka płuc i bronchit. „American Public Health Association” ostrzega: Jeśli tendencja zauważana od lat, utrzyma się w dalszym ciągu, przeszło milion młodych ludzi, którzy uczęszczają obecnie do szkół w Stanach Zjednoczonych, umrze na raka płuc przed osiągnięciem siedemdziesiątego roku życia.

Naukowcy jeszcze przed wojną zwrócili uwagę na tytoń. Ścisłej na dym z papierosów. Udało się wyodrębnić w tytoniu 800 różnych substancji chemicznych. Zaczęto podejrzewać, że niektóre elementy tych substancji mogą być szkodliwe dla zdrowia. Badania rozwijano w kilku państwach, głównie w Anglii i Stanach Zjednoczonych. W 1950 roku amerykańscy lekarze Wynder i Graham ogłosili, że spośród 605 mężczyzn, których zaatakował rak płuc, 96 procent to nałogowi palacze. Dwaj angielscy lekarze Doll i Hill opierając się na danych z wielu szpitali, wysunęli tezę, jakoby palacze dziesięciokrotnie częściej chorowali na raka niż niepalący. Do podobnych wniosków doszli, w sposób niezależny, uczeni amerykańscy Hammond i Horn. Obaj lekarze zanalizo-

wali przebieg choroby 187.783 mężczyzn, którzy w Stanach Zjednoczonych zmarli na raka płuc. Wyniki potwierdziły dawne hipotezy. Dane wywołały spór, który ciągnął się latami. Włączyły się do niego wielkie koncerny tytoniowe i... otworzyły własny Instytut Naukowy. Na czele Instytutu stanął profesor Cook Little. Wśród uczonych nie było zgodności poglądów. Profesor Berkson wyraził wtedy opinię, iż statystyka wprowadza tylko w błąd. Ludzie od dawna umierają na raka. Nie wiadomo jednak o tym, gdyż lekarze mylili się w diagnostyce. Prawie 90 procent dorosłej ludności wielu krajów to palacze. Ci ludzie przedstawiają sobą zespół wrodzonych cech. Więc taką konstytucję ciała, że stają się bardziej podatni na zachorowanie. Słowem ulegałby rakowi płuc nawet wówczas, gdyby nie brali papierosów do ręki.

Dr Wynder, po zapoznaniu się z argumentacją Berksona, dokonał rozległych badań w szpitalach kierowanych przez sekte adwentystów, która zabraniała współwyznawcom palenia tytoniu w jakiegokolwiek formie. Wynder stwierdził, że w tych szpitalach chorowali na raka katolicy, protestanci, Izraelci, ateści, lecz ani jeden adwentysta. Wciąż jednak brakowało dowodu nie do obalenia, że dym z papierosów powoduje śmierć. W tych warunkach dr Hammond zdecydował się na trud-

ny eksperyment, który nazwano potem klasycznym. Ustawił w kartotece naprzeciw siebie 39.975 „bliźniaków”. Wszystkie te osoby reprezentowały ten sam typ fizyczny, miały równy wiek, ten sam kolor włosów i oczu. Wszystkie te osoby żyły w identycznych warunkach, pracowały w jednakowych zawodach. Na tym polegało ich „bliźniactwo”. Pierwsza połowa „bliźniaków” wypalała dwie paczki papierosów dziennie, druga nie paliła w ogóle.

Dr Hammond i jego współpracownicy obserwowali życie wybranych przez 34 miesiące. Przez ten czas zmarło 2.043 „bliźniaków”. 1.385 spośród nich paliło, 662 nie paliło. Na raka płuc zmarło 110 palących i 12 niepalących. Na choroby dróg oddechowych zmarło 15 palących i ani jeden niepalący. Na żadną chorobę nie zmarło więcej niepalących, niż palących. Raport wywołał poruszenie w wąskim gronie specjalistów. Nie stał się wszelako wydarzeniem dnia. Został ogłoszony w czasopiśmie naukowym o małym nakładzie. Prasa nie podjęła tematu. Milczała. Milczał również komitet dziesięciu rzeczoznawców powołany przez Kennedy'ego. W momencie gdy dr Hammond ogłosił rezultaty swych badań, w urzędowej drukarni Stanów Zjednoczonych schodził z maszyny rotacyjnej raport naukowy z nagłówkiem „top-secret” — ściśle tajne. Działo

się to rok temu. Raport był przeznaczony do rąk własnych Kennedy'ego. Prezydent przeczytał raport, ale zlekcebił go, podjęciem decyzji. Lękał się reperkusji. Społecznych i politycznych. Prezydent obawiał się, że raport wywoła szok w szerokim kręgu wyborców. Utworzony przez Kennedy'ego, słynny dziś komitet 10, składał się z lekarzy, chemików, farmakologów, uczonych o wielkich nazwiskach. Naukowcy bo radowali przez 14 miesięcy w podziemnych Biblioteki Medycznej w Bethesda, pod kierunkiem L. Terry'ego, który nosił tytuł „Surgeon General”. L. Terry jest czymś w rodzaju „naczelnego lekarza” Stanów Zjednoczonych. Praca komitetu była odcieczona tajemnicą państwową. Kto z personelu pomocniczego nie potrafił milczeć, był natychmiast zwalniany.

Dlaczego?
Tytoń jest uprawiany w siedmiu stanach Ameryki, głównie w Georgii, Virginii, Kentucki... Z tytoniowych plantacji żyje 750.000 farmerów, w fabrykach papierosów pracuje 96.000 robotników. Ze sprzedaży wyrobów tytoniowych utrzymuje się 4.500 hurtowników i 1.500.000 detalistów. Koncerny tytoniowe wydały w zeszłym roku 150 milionów dolarów na reklamę, wpłaciły do skarbu państwa 3,3 miliarda dolarów podatku.

A jednak raport ukazał się w prasie. Został przedrukowany przez dzienniki całego świata. Stał się sensacją, bestsellerem. Rzecz jest pozornie niezrozumiała. Bo sprawozdanie 10 rzeczoznaw-

ców nie zawiera żadnej nowej myśli, nie przynosi żadnych nowych faktów. Potwierdza jedynie wyniki badań ogłoszone przedtem przez Hammonda, Wyndera i wielu innych lekarzy i naukow-



cy. Istotę sprawozdania komitetu 10 można by ująć w jedno zdanie: Tak zwany współczynnik umieralności jest wśród palaczy o 70 procent wyższy, niż wśród ludzi niepalących. Śmierć wybiera więc chętniej palaczy. Niedawno wybuchła jeszcze jedna bomba. Naukowcy E. Radford i R. Hunt odkryli w dymie papierosów ślady radioaktywnych izotopów polonu-210. Otóż rośliny tytoniowe wyróżniają się zabójczą właściwością kumulowania w sobie izotopów z gleby i powietrza. Polon-210 wydziela cząsteczki alfa, które mogą powodować w ludzkim organizmie raka. Znalaziono brakuje ogniu w statystycznym dotychczas do wodzie o szkodliwości tytoniu.

J. B.



stwach, które zresztą nie mogą być miarą porównawczą: w Indii, Turcji i Kanadzie.

Ze wspomnianych tabeli wynika ponadto, że 69,6% ludności Polski nie przekroczyło 40 roku życia, podczas gdy w NRD — 54,9, w Czechosłowacji — 62,1, w ZSRR 54,9%.

Czy jesteśmy narodem o przewadze kobiet? Statystyki odpowiadają na to pytanie twierdząco, chociaż proporcje powoli się wyrównują. Jeśli w r. 1949 na 100 mężczyzn przypadło 110 kobiet, to w r. 1962 już 106. Takie są liczby średnie. W podziale jednak na grupy według wieku — sytuacja dla płci pięknej jest korzystniejsza. Objawia się bowiem, że w wieku do lat 29 więcej jest mężczyzn niż kobiet. Szczególnie wyraźnie występuje to w grupie

nie wiercie, ale najmniej szczęśliwie dobiegają się pary w Warszawie i Łodzi, najbardziej trwałe są natomiast małżeństwa w woj. rzeszowskim i kieleckim.

Mimo nasilenia się niektórych chorób, które nieestety, towarzyszą cywilizacji, znacznie w Polsce zmalała śmiertelność. W latach 1931-32 na 1.000 ludności notowano przeciętnie 15,5 zgonów, w r. 1961 — 7,6. Więcej zgonów występuje wśród mężczyzn.

Jakie są ich najczęstsze przyczyny? Na to pytanie odpowiada analiza przyczyn zgonów w miastach. Wymienimy je według kolejności: nowotwory, choroby serca, uszkodzenia naczyń ośrodkowego układu nerwowego, gruźlica układu oddechowego oraz wypadki i zatrucia. Charakterystyczne: w stosunku do r. 1950 ilość

śmiertelnych wypadków na choroby nowotworowe więcej niż podwoiła się.

W wymienionej powyżej pozycji: wypadki i zatrucia poważną liczbę stanowią wypadki drogowe. Wprawdzie ilość ich na 1.000 pojazdów mechanicznych z roku na rok maleje, ofiar jest jednak więcej. W r. 1962: 2.277 zabitych i 22.174 rannych. Zawinił kierowcy, ale i piesi. Nieprzestrzeżenie przepisów o ruchu pieszym było w r. 1960 przyczyną 1.742 wypadków, a dwa lata później — już 4.201. Zmniejszyła się natomiast, chociaż nadal bardzo niepokoi, przyczyna, której na imię: nietrzeźwy stan kierowców.

Dotychczas operowałem niektórymi liczbami z rozdziału: „Ludność”.

„Rocznik Statystyczny” dostarcza jednak materiałów z wielu dziedzin. Po-

zwolą więc Czytelnicy, że podam jeszcze kilka danych, dotyczących innych faktów. Np. interesujące są tabele „Radioabonenci” i „Abonenci telewizji”.

Z pierwszej dowiadujemy się, że wśród wymienionych tam krajów jesteśmy na środkowym miejscu (rekordziści: Stany Zjednoczone, Kanada i z krajów europejskich — Szwecja), z drugiej zaś, że na 10.000 ludności przypada u nas nieco więcej telewizorów niż w Irlandii i na Węgrzech — 215 w r. 1961 wobec 213 i 205 w dopiero co wymienionych krajach. W tej dziedzinie najdalej nam do W. Brytanii i Szwecji.

A pod względem czytelnictwa gazet?

W Polsce przeciętny jednorazowy nakład gazet na 1.000 mieszkańców wynosił w 1962 r. 185 egzemplarzy. Jest to więcej niż np. we Włoszech, ale niemal dwukrotnie mniej niż w ZSRR, Szwajcarii, czy też Finlandii.

Z przedmowy do „Rocznika Statystycznego 1963” dowiadujemy się, że zakres tegorocznej publikacji został znacznie rozszerzony, w porównaniu z wydaniem poprzednim. Dotyczy to zwłaszcza działów: „Ludność”, „Rolnictwo i leśnictwo”, „Szkolnictwo” i „Przegląd międzynarodowy”. Włączono również nowy dział: „Środki trwałe”. Bardzo interesujące są cyfry mówiące o naszej gospodarce narodowej. Na ten temat zabierzemy jeszcze głos.

WIESŁAW BEK

Książka o Polakach

pierwszej — do lat 4. Na 100 chłopców przypadają 94 dziewczynki.

Ciekawej lektury dostarcza również rozdział: „Nowożeńcy według wieku”. Dowiadujemy się z niego, że średni wiek mężczyzn zawierających małżeństwo obniżył się z 26,3 w latach 1931-32 do 25,4 w r. 1961, kobiet natomiast — z 23,4 do 22,3. Na 1.000 ludności tylko 9,2 mężczyzn i aż 58,7 kobiet zawarło związki małżeńskie w wieku lat 19 lub poniżej, powyżej natomiast 50 lat — 4,2 mężczyzn i 1,5 kobiet. Wniosek stąd oczywisty: kobiety wcześniej wychodzą za mąż.

Skoro już o małżeństwach mowa, może kilka słów i o rozwodach.

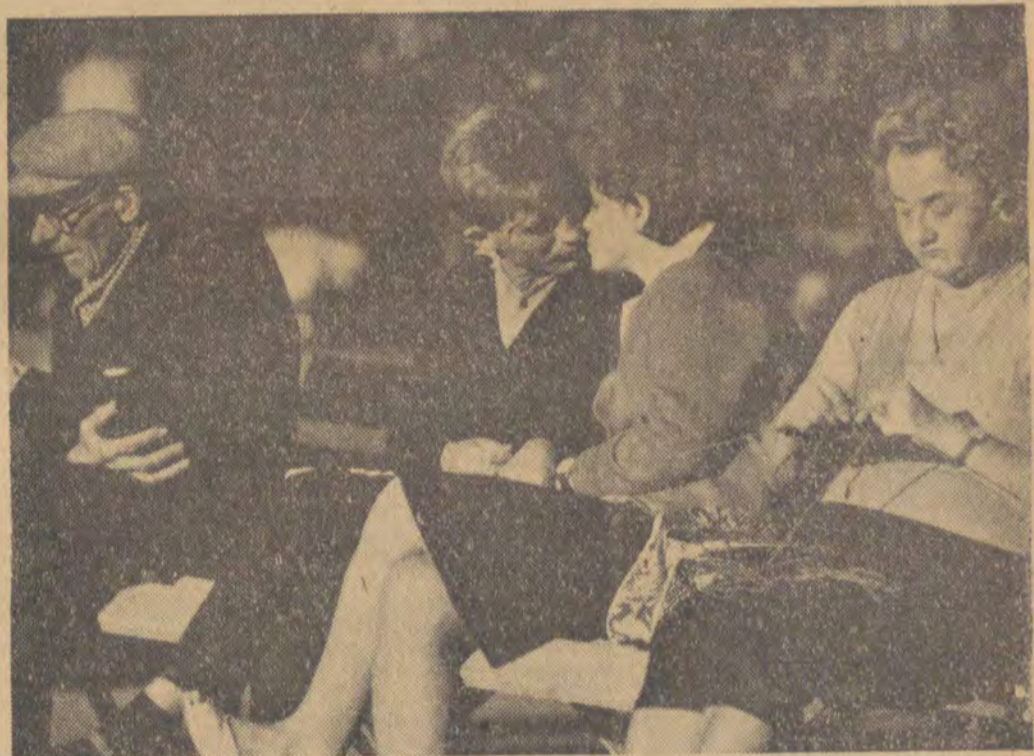
Ilość ich systematycznie wzrasta. Wprawdzie w r. 1960 czterokrotnie częściej niż w Polsce rozpadły się małżeństwa w Rumunii i niemal trzykrotnie częściej w NRD — to jednak więcej jest u nas rozwodów niż np. w Kanadzie, czy Meksyku, nie mówiąc już o Portugalii i Irlandii.

Chcecie to wierzyć, chce-

Gdyby przyrost naturalny utrzymał się w najbliższych latach na tym samym poziomie — mniej więcej za 10 lat osiągnęlibyśmy liczbę mieszkańców Polski przedwrześniowej. Począwszy jednak od r. 1955 systematycznie maleje — z 19,5 na 1.000 ludności do 11,7. Interesujące jest przy tym, że w miastach przyrost ten obniżył się o ponad połowę.

Mimo to jesteśmy narodem bardzo młodym. 40,3% ludności Polski nie osiągnęło jeszcze 19 roku życia. Nasuwa się od razu refleksja: prawie co drugi mieszkaniec naszego kraju zna już okropności II wojny światowej jedynie ze słyszenia!

Taki wysoki procent młodzieży występuje w niewielu krajach. Tabele statystyczne „Przeglądu międzynarodowego” odnotowują podobne zjawiska poza Polską tylko w trzech pań-



584

strony wypełnione bez reszty tabelami i liczbami — to wbrew pozorom bardzo interesująca lektura. Każdy rozdział

„Rocznika Statystycznego” dostarcza bogatego materiału nie tylko dla statystyka. Z długich szeregów liczb wyłania się bowiem interesujący obraz naszego kraju i jego niejsze w świecie. Czytelnik „Rocznika” otrzymuje rzetelną wiedzę o ludzkiej i zjawiskach. Doprawdy nie ma więc przesady w twierdzeniu, że w liczby można się wczytać, jak w najbardziej interesującą powieść.

Nie wierzyć? Proszę, przeczytajcie... 31 grudnia 1962 r. ludność Polski liczyła 30.484 tys. W ciągu trzynastu ostatnich lat powiększyła się zatem o 5 mln 871 tys., czyli przeciętnie rocznie o 451 tys.

CZY MARKS BYŁ POLONOFIEM?

dalszy ciąg ze str. 1

częły się — na podłożu owej emocjonalnej sympatii, jak i w oparciu o nowo ugruntowane zasady — kształtować poglądy dotyczące dróg wyzwolenia narodu polskiego.

Gdy w Polsce wybuchło powstanie styczniowe Marks, wówczas 45-letni, był jako ubogi emigrant w londyńskiej dzielnicy Hauptstadt. W liście do Engelsa (żyjącego wówczas w Manchesterze) z dnia 24 stycznia 1863 roku Marks zwierza się z kłopotów tylko jednego dnia: agent właściciela domu upominał się o zapłatę czynszu, przyszedł zaprotestowany weksel, w domu zabrakło węgla i chleba. W liście informuje Marks, iż zamierza ogłosić pełne bankructwo wobec wierzycieli, swe córki umieści na posadach guwernantek, a sam z żoną zamieszka w tanim mieszkaniu w jednym z budowanych dla robotników bloków mieszkalnych w centrum Lon-

dynu. W niewiele dni potem donosi swemu przyjacielowi o zapaleniu oczu i bólach głowy, które go trapią. Lekarz zabronił mu wszelkiego czytania i pisania. Znowu odłożył musiał pracę nad wielkim dziełem teoretycznym, któremu poświęcił wiele już lat.

W tych właśnie dniach poczęły nadchodzić wiadomości o powstaniu polskim i one to jakby pobudzały do życia przywalonego troskami i chorobą człowieka. Listy Marks z tych dni wypełniają się komentarzami o powstaniu. Wkrótce Marks zaproponował Engelsowi wspólne napisanie manifestu przeznaczony dla publiczności niemieckiej. Engels miałby opracować część wojskową, a Marks — dyplomatyczną. Gdy Engels udzielił swej zgody Marks przystąpił z niezwykłą metodycznością i sumiennością do zebrania materiałów i poczynienia szkiców. Pracy tej musiał ostatecznie zaniechać.

W sierpniu 1863 r. prowadził Marks rozmowy z pułkownikiem Łapińskim, organizatorem niefortunnej wyprawy mor-

skiej, która na pomoc powstaniu udała się z Anglii do Zmudzi. Planowano utworzenie niemieckiego legionu złożonego z 200 osób, który walczyłby po stronie Polaków pod czarno-czerwono-złotym sztandarem niemieckiej demokracji. Marks interesował się również zbierką pieniędzy na ten cel. Ostatecznie plan legionu zawiódł. Pewne światło na ówczesną działalność Marks w środowisku niemieckich emigrantów rzuca korespondencja (którą niedawno odnalazłem w Moskwie) jednego z działaczy Niemieckiego Robotniczego Stowarzyszenia Oświatowego w Londynie, Wilhelma Webera. Dowiadujemy się z niej, że na jesieni Marks prowadził rozmowy z Polakami, mające na celu podjęcie zorganizowanej akcji. W wyniku tego powstał niemiecki komitet w Londynie, mający na celu zorganizowanie zbiórki pieniężnej na rzecz Polski wśród robotników niemieckich w Anglii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. W związku z tym wydano w postaci ulotki odezwę, której autorem był Marks. Wyszła ona drukiem u końca października lub na początku listopada 1863 roku. „Jeśli nawet reżym policyjny w Niemczech — czytamy w niej — uniemożliwia klasie robotniczej organizowanie w obronie Polski demonstracji o takim zasięgu, to jednak bynajmniej nie zmusza

robotników niemieckich do tego, by przez swoją obojętność i milczenie w obliczu całego świata ściągali na siebie piętno współwinnych zdrady”.

Już po klęsce powstania, z końcem 1864 roku, Marks jako członek Rady Centralnej nowo powstałego Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotniczego, stał się w kwestii polskiej z innym członkiem Rady, Foxem. Swą polemikę poprzedził Marks ponownymi studiami i naszkicował przy okazji wiele stron.

Poprzestajemy na tych przykładach mających zilustrować tezę o głębokim, płynącym z serca, zaangażowaniu się Marks po stronie narodu polskiego. W parze z tym szło ujmowanie teoretyczne sprawy polskiej jako fragmentu, ówczesnie nader ważnego, ogólnej walki wyzwoleniczej, uciskanych klas i narodów oraz płynące stąd wskazania na praktyczne, zarówno dla proletariatu na Zachodzie jak i dla polskich rewolucjonistów. Pomiedzy stosunkiem Marks do Polski płynącym z serca, a tym, który opierał się na głębszej intelektualnej analizie, nie było więc sprzeczności: wspólnym mianownikiem był głęboki humanizm, podstawowy składnik systemu stworzonego przez Marks.

HENRYK KATZ

str. 3

Po przestawnym laniu

Chodzimy w żalobie. Mamy nosy spuszczone na kwintę. Bo oto przegraliśmy w Moskwie. „Przełagd Sportowy” zapewnia nas, że przegraliśmy z honorem. 4:16 i honor! Wolalibyśmy nieco mniej honoru, a nieco więcej punktów. 4:16! To nie była przegrana. To było przestawne lanie.

Mogliśmy przegrać niżej? Kulej miał przewagę nad Frolowem? Zachował ją do ostatniego gongu? Tak, ale musiał zapłacić za Grudnia. Grudzień nie wygrał z Barannikowem w Moskwie. Tak jak nie wygrał z Nikanorowem w Łodzi. W Łodzi walkę dla Grudnia wygrał Bendig. W Moskwie zwycięstwo Grudnia odezwał na swojej skórze Kulej. Był lepszy od Frolowa. Sprawiedliwości jednak musiało się stać zadość. Odebrano dwa punkty jednej drużynie, teraz trzeba odebrać je drugiej. I odbiera się je, odbiera się zwycięstwo Kulejowi.

Mimo wszystko mogliśmy przegrać niżej, bo Olech... Gdyby mecz toczył się w Warszawie, wagę musiał wygrać Olech. W Moskwie wygrał ją Bystrow. W Warszawie zmieniłby się przebieg walki? Być może. Na pewno jednak zmieniłby się przebieg sędziowania. Sędziowie nie dostrzegali by wówczas uników Bystrowa, dopatrywaliby się natomiast serii Olecha, nawet tam, gdzie ich nie było.

Sędziowie? Raczej sędzia neutralny. W spotkaniu międzynarodowym on, zazwyczaj on rozstrzyga o werdykcie. Sędziowie stron zaangażowanych widzą bowiem triumf rodaka. Chyba, że zniosą go z ringu, że stanie się on workiem treningowym dla swego przeciwnika. Ze trafi na mistrza o renomowanym nazwisku, bo trudno jest wygrać z renomowanym nazwiskiem. Albo że sędzia będzie wielkoduszny i dżentelmenem. Takim jak pan Idziak, który wskazując na zwycięzcę w walce Kulej — Frolow, wskazał na Frolowa.

Sędziowie inaczej oceniają wysiłek rodaka. Sędziowie neutralni lubią głośne nazwiska i lubią gospodarzy. Nie zawsze, zazwyczaj. Nie możemy do nich o to pretensji. Oni naprawdę widzą cios mistrza.

Włącznie z tym, którego mistrz nie zadał. I naprawdę widzą każdy unik boksera gospodarzy. Nawet ten, który unikiem nie był. Są tendencyjni? Ależ tak. I są uczciwi. Będą nadal tendencyjni. I nadal uczciwi. Sytuacja w ringu umyka bowiem ludzkiej kontroli. Trzeba tu precyzyjniejszej aparatury pomiarowej aniżeli ludzkie oko. Aparatury nie liczącej się z selekcją przestrzeni. Ze świadomością widzenia.

Przesławne lanie nie było końcem technicznego boksu. Nie zawiódł tu sidestep i lewy prosty. To Stiepszkin zapomniał o lewym prostym. A raczej — o prawym. Stiepszkin jest przecież mańkutomem. Zapomniał i przegrał. Nie umiał zastopować Gutmana. Gutman bez trudu przechodził do półdystansu. A w półdystansie był znakomity. Był dużo lepszy od Stiepszkina. Nie, nie zawiódł tu boksu techniczny. To my przegraliśmy w Moskwie. I to my wystaliśmy do Moskwy drużynę złożoną z bokserów w sumie chyba gorzej wyszkolonych niż bokserzy radzieccy. Ale nie oszukujemy się. Nie tu tkwi racja przestawnego lania. Szczepański umiał więcej niż Stiepszkin. A w Łodzi po ciosie Stiepszkina trwał zgięty, pochylony przez pełne dziesięć sekund. Chciał wyprostować się i nie mógł. Przegrał przez nokaut.

To sprawa ciosu. W ostatnich latach sędziowie mniej cenili cios. Zwracali uwagę na obronę. Wy różniali unik. Ale cios, ten, którym zwala się przeciwnika z nóg jakby wbrew temu, jakby na przekór sędziowskim instrukcjom odgrywa coraz to większą rolę w boksie. Zawsze odgrywał zasadniczą rolę w boksie zawodowym. Odgrywa coraz poważniejszą wśród amatorów. Tzw. amatorów.

To sprawa ciosu. Czy tylko ciosu? Walasek boksuje lepiej niż Popienchenko. A jednak przegrał z nim w Moskwie. Minimalnie, w ostatniej chwili. Ale przegrał. I nie otrzymał ciosu, po którym upadłby bezwładny, nieruchomy. Podobny do wielkiej kukły. Nie, nie cios zadecydował o przestawnym laniu. I nie klepska odporność na

uderzenie. Leszek Drogosz nigdy nie słynął z odporności. A Leszek Drogosz z roku 1955 miałby w Moskwie ogromne szanse. Przestawne lanie spotkało przecież tych, którzy wzięli swoje amatorsztwo na serio. Potraktowali boksu jak przygodę. Uprawiali boksu tak jak uprawia się spacer. Tylko że spacerowicz nie myśli o zdobyciu olimpijskiego medalu w chłodzie.

Nie ma dziś boksu — dobrego boksu — bez wielu godzin rzetelnego treningu. Bez siódmych potów, bijących na czoło. Boksu, nawet amatorski, stał się sprawą serio. Nie można walczyć przez trzy minuty, przez sześć zaś — markować walkę. Bokserzy radzieccy forsują nieustanny atak. Przez wszystkie trzy rundy trzeba się bronić. Bokserowi, który boksuje gwoźli wewnętrznej satysfakcji, tak jak starszy pan grywa

w badmintonie; bokserowi, który jest mistrzem świata, lecz pierwszej tylko rundy, nie starcza sił. Zatyka mu oddech. Miękną mu kolana. I przegrzywa. Przegrzywa choć nieraz umie więcej, choć przewyższa swego przeciwnika na naturalnymi dyspozycjami. Nie ma kondycji. Nie ma refleksu. Opuszcza go natychmiastowa orientacja, owa wiedza pozawerbalna, owo intuicyjne niemalże rozpoznanie sytuacji. A jeśli nawet nie stracił go, nie zagubił, to w ślad za nim nie idzie sprawność ciała. Boksu jest przestrzenią dla ludzi gry. Świadomych tego, że są ludźmi gry. I grę traktujących tak jak drwał traktuje rąbanie drzewa. Jak żongler swoją żonglerkę. Jak linoskoczek swój codzienny marsz wysoko, nad areną, po rozpaczliwie prostej, rozciągniętej linie.

Punch



NAJBLIŻSZA NOWOŚĆ POPULARNEGO TEATRU

to 5-aktowa sztuka „Bankrutstwo”. Treść sztuki wielce zajmująca bo zaczerpnięta z tajemnic fabrycznych, a więc w Łodzi u nas aktualna.

UWAGA!

Udzielam rad i wypowiedni w sprawach handlowych, rodzinnych i miłosnych. Przeszłość i przyszłość. Cena od 50 kop. — Okulistka-chiromantka „HENRYK” (chrześcijanin), ul. Zielona 41.

JA, HENRYK HENDRYKOWSKI, dyplomowany nauczyciel tańców przy ul. Pasaż Szulca 2 (obok Sali Angielskiej, w byłym lokalu po Tow. Dramatycznej Kunst) — urządziłem nową pierwszorzędną szkołę tańców z wymogami higieny i elektrycznym oświetleniem. Wyuczam każdego bez względu na zdolności — w ciągu miesiąca najnowszych tańców!

OGÓRKI Z KOKSEM!

Do sprzedania kilkanaście beczek kapusiu i ogórków kwaszonych, a na dodatek kilkanaście kory koksu. Ul. Zagłębicka 26. Wilkowski.

KONCERT HUBERMANA

Bronisław Huberman gościł u nas będzie ponownie w tym sezonie (19 lutego). Jest wielki zainteresowanie, tym bardziej, że wiele osób nie dostało się do Sali Koncertowej z powodu wyprzedanych miejsc z ostatnim jego pobylem.

ZAGINAŁ PIĘŚ,

wyżeł maści brązowej wabi się „Trefl”. Proszę odprowadzić za swym wynagrodzeniem do apłeki Ludwiga. Siary Rynek 9.

„G. Nowy Kurjer Łódzki”, I kwartał, 1912 r.)

MLEKO POZNAŃSKICH

wprost od krowy (cieple i pełnotłuste) z folwarku fabrykantów Poznańskich z dostawą do domu w oddzielnych zapieczętowanych bankach w dowolnej ilości. Zgłoszenia przyjmuje się telefonicznie.

W KINIE CAPITOL W ŁODZI

„Kobieta na Księżycu” — realizator Lang, w filmie kryje się taka potęga natężenia! Sednem jest ów wzniosły szalony plan zdobycia przestrzeni międzyplanetarnej przez człowieka. I owa wspaniała epopea zwycięskiej woli ludzkiej została tu dobrze wyrażona. Jest to jedyny film, który potrafił unocześnie zdobyć techniki i cywilizacji, a równocześnie ukazać dramat ludzki. Jest to film jaki nie prędko zapewne ujrzymy znowu.

PABIANICZANIE popierają swego rodaka!

Tam, tow. krajoznawcze powołało Komitet, którego zadaniem jest popieranie twórczości p. art. mal. B. Nawrockiego, celem umożliwienia mu pobytu dłuższego w rodzinnym mieście. Artystę zaproponowano szereg tematów historycznych związanych z dziejami Pabianic, dla tam. Muzeum.

TRAGEDJA SŁUŻBY DOMOWEJ

W razie straty miejsca, służące nie mają dachu nad głową. Interwencja u władz miejskich. Fała samobójstw wśród bezrobotnych. Wiceprez. Rapalski oświadczył, że magistrat postara się znaleźć odpowiedni lokal na urządzenie domu noclegowego dla bezrobotnej służby domowej.

ŻĄDANIA ROBOTNIKÓW SEZONOWYCH!

Podwyżki płac, pełnego tygodnia pracy, umowy zbiorowej. W sprawie żądanej podwyżki płac wiceprez. Rapalski oświadczył delegatom, że w danej chwili sprawa ta jest nieaktualna zupełnie, gdyż wszystko zależy od finansów miasta...

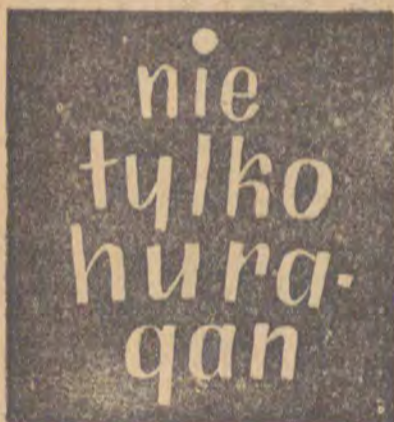
MAGISTRAT ŁÓDZKI SPRZEDAJE AKCJE

framwajowe. Ogłoszono tu subskrypcje tych akcji (V emisji) w sumie 2.500 sztuk. Wynisłone projekt ceny przez Dyrekcję K. E. L.

„Republika” — I kwartał, 1930 roku.

Odracował (ZETKO)

RYSZARD RADUSZEWSKI



Ośmiotysięczna Rawa nigdy nie posiadała przemysłu. Przed wojną na encyklopedia Trzaski wspomina coś tam o młynach i garbarstwie, ostatecznie ilu ludzi mogło się tym zajmować? Po wojnie ruszył niby przemysł terenowy popularne „filce”, czyli przedsiębiorstwo, gdzie się między innymi filcowe buciory robi, obuwnicza i usługowa spółdzielnia „Rawianka”, przetwórnia owoców w „Tatarze”. Mało. Rawianie pospókręwniani ze sobą w jedną wielką rodzinę tworzyli miasto związane z ziemią, rolnictwem. Dopiero w pięćdziesiątym siódmym przemysłowy zapach nowoczesnego świata wniósł Fabryka Ostry do Golenia, po prostu zwykłych żytełek. Powód do reporterskiego wypadu, bo jak ostatnio podała prasa, zakład dom przestały te żytełki wystarczać, załoga ambitnie postanowiła wyprodukować krajową elektryczną maszynkę do golenia.

Koledzy obarczyli zamówieniami: wiesz, gdyby się tak dało kupić, potrwa, zanim dotrą do sklepów. Nie ogoliłem się w domu, żeby wypróbować maszynkę. I zaskoczenie. Nie ma, nie było i nie będzie. Potem jednak dyrektor, inżynier Józef Mroczek, mówi że jest, ale prototyp, choć udany zło-

żyli do lamusa. Przyznoszą, gołę się, podziwiam, cacko. Dwa lata nad nim pracowali, z własnej inicjatywy. Technolog inż. Kazimierz Sroka, główny inżynier Henryk Matuszewski, dyrektor, cały pion techniczny. Są młodzi, pełni zapалу, chcieli zaktywizować teren, przełamać odrętwienie, rozwojem fabryki podbić Rawę razem z okolicą. Patrzą, jak technolog pieśzczołliwie dotyka plastikowej oprawki. Jeszcze nie taka, zlecił projekt Instytutowi Wzornictwa Przemysłowego, siateczka na wirujących ostrzach też nie ta właściwa, powinna mieć precyzyjniejsze, podłużne otwory, a to bardzo trudne, trzeba było skonstruować specjalną maszynę. Przy okazji okazało się, że może ona zaopatrzyć przemysł włókien sztucznych w importowane dotąd filtry, mikroskopijne sitka do snucia anilany lub wiskozy. Hutnictwo zamówiło już nawet w tym celu kilka maszyn. A w listopadzie przyszło pismo z ministerstwa i polskiej maszynki do golenia nie będzie.

Prototyp jest mały, tak wygodnego aparatu nie spotkałem, ze zmieniającymi ostrzami — do golenia, strzyżenia, do baków, bród i wąsów. I podłączany jak kto sobie życzy: na baterie (duże, te do chińskiej latarki), na ładowane z sieci akumulatorki, albo bezpośrednio, wtyczką do gniazda. Cenę tak skalkulowali, że jedynie zaciekle konserwatysta używałby żytełek. Koszt fabryczny tej wyłączenie baterijnej 230 złotych, uniwersalnej coś około czterysty.

Zaden z prawdziwego zdarzenia fachowiec na samych żytełkach nie wysiedzi, dosłownie bo nie fakir, w przenośni, bo po opanowaniu technologii i automatyzacji coraz mniej problemów do rozwiązania. Już i tak personel zmniejszony o połowę, a żytełek dwa razy więcej, zupełnie dobrych, skoro czterdzieści procent na eksport i ani jednej przez cały czas reklamacji. U nas stary zwyczaj psiożyć na własne wyroby, zagranica

chwali. Dyrektor był w Moskwie, tam mają identyczne maszyny, ale przekonstrowali i udoskonali. Teraz przesyłają kamienie szlifierkie są w drodze, to i w Rawie powstaną nowe automaty. Stał jeszcze szwedzka, w próbach surowiec z huty Baildon, kto wie czy nie okaże się od niej lepszy. Sprawa elektrycznej maszyny: odgórnie zawałona, produkują więc zwykłe, na żytełki. Aparaty solidne, może nieco droższe niż spółdzielcze, ale Rawa nie chce wypuszczać byle czego. Nie po to trwa uparta walka o rozbudowę, o rangę zakładu, nie po to dyrekcja ściągą każdego fachowca pochodzącego z okolicy, który gdzieś politechnikę lub technikum skończył. Tak zaangażowali inż. Matuszewskiego, który pracował na Śląsku, inż. Jarreckiego prosto z łódzkiej uczelni, na którą poszedł z pobliskiego Białynia. Dla fachowców są domki dwurodzinne, w planie budowa bloku. Dostarczają pracownikom również miejscowe technikum mechaniczne z działem narzędzi precyzyjnych i zasadnicza szkoła metalowa, nad którymi fabryka ma patronat.

Plany szerokie. Prócz żytełek noże do chleba i jarzyn (sliczne!), aparaty do golenia, te zwyczajne, komplety do manicure i elektryczny do masażu, brzytwy. Brzytwy teraz wyrabia, w niedużych ilościach... fabryka kos w Wapienicy. Maszynki elektrycznych skrefolnych z planu nie robi nikt. Fabryka rawska podlega Zjednoczeniu Przemysłu Ciężkiego, tam na wysokich szczeblach zapadła decyzja, chyba krzywdząca gromadkę zapaleńców i nas, potencjalnych nabywców i zadowolonych (cena plus zalety) posiadaczy. Dlaczego? Zdolność produkcyjna zakładów, którym zresztą przyjdzie zapewne rozszerzać zakres działania, zmieni nazwę, jest duża, zakłady wciąż szukają nowych dziedzin i pracowników, dysponują sporym zapleczem. Brak jeszcze dla tego zapleczka odpowiednio dużej hali produkcyjnej. Przygotowali teren,



ZWIERZENIA ARCHEOLOGA

*Ilekoć ujrę ten daleki kureń
(zwłaszcza jeżeli jest wicher
i słońce)
rytmuję sobie do wyrazu: duren,
albo do słowa: idiota.*

*Lecz gdy nastąpi czarodziejska
wiosna
wskreszają w duszy myśliwskie
wspomnienia
i gna mnie znowu tęsknota
mitosna
właśnie do tego kurenia...*

Julian Ejsmond poeta i myśliwy pisał o jakimś szalencie-kureniu zagubionym wśród lasów i bagien, który choć wiatrem podszty, mokry i zadymiony stał się dlań widym symbolem łowieckich przęd i łowieckiej swobody. Każdy archeolog odnajdzie w owych wierszach jakąś nutę znajomą. Każdy z nas chowa w pamięci taki „kureń“ (obojętnie czy będzie to barak, namiot, czy wiejska izdebka), do którego wracał z wykopu po długich godzinach borykania się ze słońcem, wiatrem i chłodem, jakże często po to, aby przy marnym świetle naftowej lampki zasiąść do niekończącej się inwentaryzacji zabytków, uzupełniania notat, albo co gorsza do odrabiania pańszczyzny rachunkowo-administracyjnej tej największej zmyru naukowca. A sam wykop! Z brzydka zawieszając myśli wóczas o warsztacie naszych pobratymców — historyków: biureczko z jasną lampą, wygodne krzeselko, zaciszny pokój, w najgorszym razie czytelnia w bibliotece naukowej... I po co było pchać się na tę archeologię?

„Lecz gdy nastanie czarodziejska wiosna...“ ach, wówczas wielkim głosem poczyna nas wołać TEREŃ. A kontakt z terenem broni nas przed zamknięciem się w ciasnych ścianach własnej pracowni, zbliża nas nie tylko do przyrody, ale i do społeczeństwa. Archeologia, na pozór tak daleka od spraw współczesności, w istocie należy do nauk najściślej związanych z dniem dzisiejszym, reagujących niezawodnie na wszystkie przemiany kształtujące nas najbardziej aktualną rzeczywistość. Rozpoczęcie prac związanych z tworzeniem nowego, wielkiego obiektu przemysłowego odbija się natychmiast na naszych planach naukowych, w postaci obowiązków przeprowadzenia badań na terenie objętym budową. Kłopoty z niedoborem sił roboczych na wsi stają się naszymi własnymi kłopotami przy organizowaniu ekspedycji w niektórych regionach kraju. Aktywizacja życia kulturalnego prowincji, to dziedziną, z którą w czasie sezonu wykopaliskowego spotykamy się codziennie, w najróżniejszych aspektach. Jakże często odgrywamy tu rolę pionierów!

Trzeba przyznać, że teren kryje w sobie przedziwne komplikacje. Czy filolog albo historyk bywa zmuszony w ramach swych normalnych obowiązków naukowych do karczowania lasu, sypania grobli, przeciągania linii elektrycznej, budowy mostów i baraków, kopania studni? Piszący te słowa i liczni jego koledzy po archeologicznym fachu mają za sobą aż nadto takich imprez, z którymi jakkolwiek musieli się uporać, aby stworzyć sobie i swemu personelowi

warunki umożliwiające podjęcie, lub kontynuowanie akcji badawczej. Zresztą z tą akcją badawczą też bywa rozmaicie! Wspomniałem tu o studniach. Otóż nie ulega wątpliwości, że czymś znacznie gorszym od kopania studni nowej jest... odkopywanie studni zabytkowej.

Studnie zabytkowe przesładowały nas w czasie badań archeologicznych w Łęczycy. Na samym grodzisku odkryliśmy dwie, a jak się potem okazało, kilka następnych czekało na swą kolejną w bliższej i dalszej okolicy. Pierwsza studnia grodowa, szanowna, bo pochodząca z XII—XIII wieku objawiła się nam jako potężna kwadratowa jama ocembrowana solidnie drewnem łączonym na zrab. Wnętrze wypełniał zgęstniały muł. Dzięki wilgotnemu otoczeniu drewno ocembrowiny zachowało się świetnie i początkowo byliśmy przekonani, że cały obiekt uda



nam się wyeksplorować aż do dna. Nabraliśmy się fatalnie. Woda, która tak pięknie zakonserwowała drewnianą konstrukcję studzienną, okazała się teraz poważną przeszkodą. Codziennie rano zastawaliśmy wnętrze studni zato płoce i codziennie przed przystąpieniem do właściwej pracy musieliśmy je odważać. Wszystkie pompy ręczne i mechaniczne, jakie tylko dało się wówczas zmobilizować, zawodziły kolejno, zatykając się piaskiem i mułem. W końcu jedynym przydatnym narzędziem okazały się tradycyjne wiadra, podawane systemem strażackim, z rąk do rąk, istna prahistoria! Gdy wykop był jeszcze płytki i wody w nim niezbyt wiele, szło to jako tako, ale im głębiej kopaliśmy, tym obficie napływała woda, dążąca oczywiście do wyrównania poziomu, tym dłużej trzeba było namozolić się, by ją wyczerpać do końca. Wreszcie doszło do tego, że „łańcuch pożarniczy“ uzbrojony w wiadra pracować musiał codziennie przez 5—6 godzin, aby umożliwić 1—2-godzinną eksplorację wnętrza nieszczęsnej studni. Nazajutrz wszystko zaczynało się od nowa i tak trwało dobre kilka tygodni. Zaniepokoiła nas wreszcie głębokość wykopu. Sięgała już paru metrów, a dna studziennego ani jeszcze widać nie było. Belki ocembrowiny stanowią wprawdzie wcale niezłe szalowanie, ale bądź co bądź liczyły już sobie tych 8 wieków, mogły odmówić dalszej służby. Właściwie należało zastanowić się nad świeżym drewnem, jednak po pierwsze nie tak to łatwo w Polsce zdobyć od ręki odpowiednie drewno, po wtóre ocembrowina studni początkowo obszerna, ku dołowi znacznie się zwężała. Użycie stempli zredukowałoby niemal do zera możliwość obserwacji tak już ograniczoną. Sprowadziliśmy jakiegoś

eksperta od robót ziemnych. Przyszli, popatrzyli i orzekli, że „chyba“ możemy kopać dalej. To jest wypadek nietypowy i on nie spotykał się jeszcze z czymś podobnym. Myślimy się też z czymś podobnym nie spotykali i bardzo chcieliśmy się przestać spotykać, mimo całego naszego zapалу do badań archeologicznych. Postanowiliśmy użyć metody radykalnej: przedłużyć dniówkę ile się tylko da, choćby do nocy i zakończyć całą robotę zanim woda, wyczerpana przed południem znowu napłynie. System zdał egzamin. Po kilkunastogodzinnej, nieustannej pracy dotarliśmy do dna studni, na głębokości ok. 8 metrów pod poziomem grodowego dziedzińca. Leżało tam drewniane, świetnie zachowane wiaderko z urwanym pałkiem i każdy z nas mimo woli przebiegł myślą kilkadziesiąt lat dzielących nas od chwili, w której jakiś mieszkaniec łeczyckiego grodu zafrasowany, pochylał się nad ciemną powierzchnią wody, aby dojrzeć bodaj ślad swojej straconej własności.

W ciągu kilku ostatnich godzin nie wchodziłem do ciasnego wykopu, nie chcąc przeszkadzać tym, którzy bezpośrednio trudzili się nad jego eksploracją, ale gdy wreszcie oczyszczono dno studzienną, gdy dokonano potrzebnych pomiarów, gdy wszyscy z niewątpliwą satysfakcją opuścili głęboką cześć, postanowiłem zejść na sam dół. Chciałem bezpośrednio przekonać się czy zbadano wszystko co się zbadać dało. Uważałem zresztą, że jako bezpośredni kierownik ekspedycji muszę wleźć dla zasady tam, dokąd wleźli inni. Cóż, był rok 1950 i obywatele PRL, a zwłaszcza przedstawiciele roczników około 1920 nie odwydzali się jeszcze od dość niefrasobliwego traktowania własnych i cudzych kości. Nie powiem, że bym nie miał... tremy, gdy stałem na najwyższym szczeblu drabiny, spoglądając w ciemniejszą podę mną jamę. Nie dodała mi też otuchy flegmatyczna uwaga pana Massena, łeczycańskiego, naszego długoletniego współpracownika: „niech się pan kierownik pośpieszy, bo ta ściana się dzie“! Wziąłem, obejrzałem warstwę kamieni, którą było wybrukowane dno studni i wyłazłem godnie, choć bez pośpiechu. Ściana siałła, ale dopiero w pół godziny później, bardzo uprzejmie z jej strony. Ot, miał człowiek wężę szczęścia niż... niel nie dokonuje, nie mogę podrywać mego aktualnego, profesorskiego autorytetu. Na swoje usprawiedliwienie muszę dodać, iż gdy niebawem przyszło nam (ku naszemu lekkie mu przerażeniu) rozkopywać na-



stępną studnię grodową, zastosowaliśmy od razu stemplowanie, a kiedy nie udało się mimo wszelkich starań zdobyć odpowiedniej ilości drewna na stemple — przerwaliśmy robotę. Druga studnia grodowa w Łęczycy nie została zbadana do dna z niewątpliwym uszczerbkiem dla wiedzy, ale może z niemalą korzyścią dla zdrowia odkrywców. Wbrew przysłowiu okazaliśmy się mądrzy przed szkołą.

Nasza zdobycz uzyskana we wnętrzu pierwszej studni nie ograniczyła się do owego romantycz-

nego wiaderka. Oprócz potężnej porcji skorup z potluczonych naczyń glinianych, oprócz mnóstwa kości zwierzęcych (smaczno tym, co niegdyś z tej studni wodę czerpali), znaleźliśmy tam liczne, ciekawe przedmioty z drewna, skóry i włókna, a więc z materiałów, które w suchych warstwach kulturowych łeczyckiego grodziska niszczały na ogół bez reszty. Wśród nich, na szczególną uwagę zasługują słynne już w świecie naukowym drewniane figurki falliczne, niewątpliwie ślady zabiegów magicznych, tym ciekawszych, że praktykowane je w kraju od co najmniej 200 lat chrystianizowa-



nym, o krok od potężnych murów tumskiej kolegiaty, będącej niewątpliwie ważnym ośrodkiem władzy kościelnej. Silnie tkwiły w obyczajach społeczeństwa tradycje dawnych, przedchrześcijańskich wierzeń.

Poglądy nauki na zagadnienie pogańskich religii naszych przodków sprzed tysiąca lat, przebieły w ciągu wieków ciekawą ewolucją. Początków tej ewolucji szukać trzeba w dziełach Długosza. Dawne bóstwa były w oczach wiernych sług średniowiecznego Kościoła szkaradnymi demonami, wyślanikami piekieł, ale Długosz jako historyk to nie tylko duchowny, to także gorący miłośnik ojczyźnych dzieł, ojczyźnej przeszłości. Może właśnie dlatego pod znakomitym piórem uczonego kanonika rozkwitł wspaniały „polski Olimp“ pełen bożków o zagadkowych imionach „Jesza“, „Lada“, „Nija“, „Dziewana“, Olimp nie wiele gorszy od swego artystycznego prawzoru. Przez długie lata Długoszowa relacja cieszyła się powszechnym uznaniem, ale w końcu przyszedł czas jej zmierzchu. Pod „medra szkiełkiem i okiem“, błąd i marniał Olimp polski, aż zmarniał niemal do szczytu. Pozostał zeń prymitywny kult sił przyrody uosobionych w postaciach licznych demonów polnych, leśnych i wodnych, pozostał kult zmarłych przodków (zmieniających się czasem w groźne upiory i strzygi), pozostały wreszcie niezbyt wyraźne echa wiary w jakieś wyższe bóstwa, wśród których naczelne miejsce zajmował Swarocżyc, władca słońca i ognia. Brakło przy tym w naszych dziejach i na naszej ziemi (z wyjątkiem zachodniego Pomorza) śladów bardziej zaawansowanej organizacji przedchrześcijańskich wierzeń. Nie znajdowaliśmy u nas niczego, co dałoby się porównać z przepychem pogańskich świątyń i patosem obrzędów, dobrze znanych ze słowiańskiego Połabia. Dopiero ostatnie lata, lata wyteżonych badań nad początkami Państwa Polskiego rzuciły nowe światło także i na tę ważną dziedzinę naszej tradycyjnej kultury. Nie chodzi tu bynajmniej o falliczne rzeźby łeczyckie, ani też o inne, mniej szokujące amulety i figurki, dosyć licznie znane z wielu polskich stanowisk archeologicznych. Mam na myśli zabytki wyższych form kultu pogańskiego, odkryte według wszelkiego prawdopodobieństwa na dwóch słynnych górach: śląskiej Słęży-Sobótce i świętokrzyskiej Lysej Górze. W obu wypadkach chodzi o wybitne wzniesienia, widoczne z dala, panujące nad całą okolicą. W obu

wypadkach szczyty tych wzniesień otoczone są potężnymi wałami kamiennymi. Nie są to grodziska. Brak wody w pobliżu, niedogodna komunikacja z otoczeniem, stanowiły zbyt poważne przeszkody dla zwykłego osadnictwa. Zwykle, bo na obydwóch górach umieszczono z czasem osady szczególnego rodzaju: benedyktyńskie klasztory. Słężański nie utrzymał się w trudnych warunkach klimatu i środowiska, Świętokrzyski przetrwał do dnia dzisiejszego. Taktyka misyjna kościoła polegająca na „chrystianizowaniu“ ośrodków wierzeń pogańskich jest powszechnie znana. W tym świetle charakter obu klasztorów, a także charakter poprzedzających je kamiennych kręgotw przedstawia się bardzo interesująco. Dodajmy do tego opis Słęży-Sobótki zaczerpnięty z kroniki Thietmara (pocz. XI wieku): „Owa góra wielkiej doznawała czci u wszystkich mieszkańców z powodu swego ogromu oraz znaczenia, jako że odprawiano na niej przekłete, pogańskie obrzędy“. Nie można wreszcie zapominać o roli jaką Słęża-Sobótka gra w śląskich baśniach jako miejsce wszelakich czarów i cudowności. No, a Lysej Góra! Ta już wyrobiła sobie w folklorze polskim zupełnie jednoznaczny, nawet przysłowiową opinię!

Jakie to „przekłete pogańskie obrzędy“ odprawiano na grzbietach gór otoczonych kamiennymi kręgotwami? Czy palono tam święte ognie? Urządzano rytualne tańce? Śpiewano pieśni? Składano ofiary? Na razie brak nam odpowiedzi na te pytania. Nie ulega jednak wątpliwości, że wały na Słęży i Lysej Górze to rezultat zorganizowanego wysiłku tysięcy ludzi, świadczą o tym rozmiary konstrukcji. Kult pogański na ziemiach polskich nie był chyba tak prymitywny i tak anemiczny, jak to zdawało się sceptykom z samym Brücknerem na czele.

W chwili obecnej można się zresztą liczyć z ujawnieniem jeszcze jednej, trzeciej z kolei „świętej góry“ o tyle dla nas interesu-



jącej, że położonej na terenie dzisiejszego województwa łódzkiego. Jest nią Góra Chelmowa, koło Radomska. Przypomina żywo, choć w skromniejszej skali obie swe sławne poprzedniczki. Jak one wznosi się samotnie nad całą okolicą. Jak one dźwiga wokół szczytu pierścien kamiennego wału. Przyszłe badania wyjaśnią zapewne charakter tego ciekawego stanowiska.

Przyszłe badania... Mogą one zgotować nam wiele zaskakujących niespodzianek, nie zawsze przyjemnych. Nie wszyscy (mam na myśli także i archeologów) pamiętamy, że śledzenie pozostałości minionych wierzeń, bywa jednym z najtrudniejszych zadań w całej archeologii. Zawodzi nas tu skądinąd wypróbowana metoda interpretowania zjawisk archeologicznych, polegająca na założeniu, iż ludzie z przedwieków, ludzie których sprawy śledzimy, postępować racjonalnie. Niestety, wierzeń nie da się włożyć w racjonalne ramy, a gdy te ramy raz przysną, bardzo, aż za bardzo łatwo zejść z drogi nauki na niebezpieczne manowce fantazji. Ale o tym może już innym razem.

ANDRZEJ NADOLSKI

PODZIANO PODROZUJA

O POLSKIM LNIE I NOWYM JORKU OPWIADA PANI TERESA KOWALEWSKA:

— Czy Pani dużo podróżuje?
— Wyjeżdżam zawsze wtedy, kiedy zachodzi potrzeba odwiedzenia „mojego rynku“: Nowy Jork, Kanada, teraz Włochy. Moją specjalnością są tkaniny lniane — a więc

chciałabym, żeby ten polski len był na świecie znany, no i kupowany.
— A jak to wygląda w chwili obecnej?

— Przesądny zapukałby tutaj w drzewo nie malowane. Świat zaczął coraz gwałtowniej poszukiwać polskich ścieretek, obrusów, lnianych tkanin. Wyprzedziliśmy już nawet potężnego „lnianego eksportera“ — Czechosłowację!

— Pani najciekawsza z dotychczasowych wypraw?

— Chyba do Nowego Jorku. Zaczęła się zresztą z przygodami. Bo ja wiem zresztą, czy to była przygoda. Najadłam się przecież sporo strachu. Do Nowego Jorku leciałam z Paryża, a w Paryżu nadałam wiadomość dla agenta handlowego w Nowym Jorku. Miał na mnie czekać na lotnisku. Ale nigdzie go nie

było. W dodatku po kontroli celnej zawieruszyły się gdzieś moje bagaże. Znam świetnie angielski, ale Amerykanie mówią po pierwsze strasznie szybko, po drugie jakąś „gwara“. Tak mi się przez cały czas wydawało. Stałam i myślałam co z sobą zrobić. Bagaże znalazły się wreszcie, więc z dużym zaniem (nie miałam przecież za dużo tej obcej waluty) przywołałam taksówkę. Ale za to później świetnie się bawiłam, bo agent stał na głowie, żeby znaleźć Miss Kowalewską.

— Co Pani widziała, co Pani najmilsiej wspomina?

— Siedziałam w Nowym Jorku dwa miesiące. To niezbyt długo jak na miasto, pod względem powierzchni w kilometrach kwadratowych największe na świecie. Kiedy wspominałam Nowy Jork, to mi-

mo woli mrużę oczy: to nieprawdopodobna powódź światła, reklam — tuż nad głowami przechodniów i na najwyższych piętrach słynnych drapaczy chmur. Na Broadwayu (główna ulica — 29 km!) spotkałam mrużącą do mnie kolorami tęczy reklamę polskiej szynki. W Muzeum Sztuki Nowoczesnej spotkałam kogoś ze znajomych i zablazdaliśmy. Zamiast dzwonka windy nacisnęliśmy dzwonek alarmowy: „Uwaga! Złodzieje eksploatów!“. Co się wtedy działo! Pewnego dnia przed południem, kiedy jak zwykle zajmowałam się sprawami polskiego lnu, podeszła do mnie pewna Polka — pracownik jednej z komisji GNZ. Zabrała mnie do gmachu ONZ. Obserwowałam obrady Sesji Rady Bezpieczeństwa. Właśnie tę niespodziewaną wizytę w ONZ wspominałam najmilsiej.

— Myślała Pani o nas — łodziach, tam za oceanem?

— Bardzo. Kiedy chodziłam ulicami, na których furczało od koronek i nylonów, kiedy patrzyłam na te kapelusze — ogródki warzywne i zoologiczne, myślałam: Pan Jan Szaudynger napisałby tutaj setki swoich nieocenionych fraszek o kobietach. Ale jedna fraszka, z już napisanych, straciłaby w Nowym Jorku swoją zaczepną aktualność.

— Wiem! „Myjcie się dziewczyny...“

— Tak. Amerykanki specjalnie dobrego gustu nie mają, nie potrafią np. dobrać kolorów garderoby. Ale za to są naprawdę niezwykle czyste!

Rozmawiała: H. B.

diamentowa gitara

TRUMAN CAPOTE



dalszy ciąg ze str. 1

kolwiek ta piosenka była po hiszpańsku, niektórzy próbowali śpiewać równieź, a Pick Axe i Goober tańczyli razem. Charlie i Wink też tańczyli, ale solo. Mężczyźni śmiali się, to było ładne, i kiedy Tico Feo odłożył w końcu gitarę, pan Schaeffer gratulował mu razem z innymi.

„Zasłużyłeś na taką fajną gitarę”, powiedział „Diamentowa”, powiedział Tico Feo, przeciągając ręką w jej blasku. Kiedyś, to miałem taką jedną z rubinami, ale ukradli mi ją. W Hawanie, gdzie moja siostra pracuje, tam, gdzie jak ty mówisz, robią gitary; stamtąd ją mam”. Pan Schaeffer zapytał go, ile ma siostr i Tico Feo szczerząc zęby podniósł cztery palce. Ale zaraz jego niebieskie oczy zwróciły się sprytnie i powiedział: „A co, pan by chciał dać lalkę za moje dwie siostry?”

Pan Schaeffer przyniósł mu następnego wieczora lalki. Odtąd byli najlepszymi kompanami. Zawsze razem. Cały czas tylko debatowali ze sobą. Tico Feo miał siedemnaście lat i w tym dwa lata roboty na frachtowcu, na Morzu Karaibskim. Jako dziecko chodził do szkoły leżaszkowej i nosił złoty krucyfik na szyi. Miał także różaniec, który trzymał owinięty w zieloną, jedwabną wstążkę razem z trzema innymi skarbnymi: butelką wody kolońskiej, Evening in Paris, lusterkiem kieszonkowym i mapą świata Rand McNally'a. To i gitara stanowiły jego wyłączną własność i nikomu by nie pozwolił dotknąć się do nich. Możliwe, że cenil mapę najbardziej. Noć jak tylko wygasły światła potrażał swoją mapę i pokazywał panu Schaefferowi miejsca gdzie był — Galveston, Miami, Nowy Orlean, Mobile, Kuba, Haiti, Jamajka, Porto Rico, Wyspy Dziewicze — i miejsca, gdzie zamierzał powędrować. A chciał być prawie wszędzie, nawet w Madrycie, nawet na Biegunie Północnym. Te zestawienia oczarowywały pana Schaeffera i przerażały go. Ranila go ta myśl, Tico Feo w dalekich krajach, Tico Feo na morzach. Niekiedy wycofywał się, patrząc na swego kompana i myślał: „To chyba jałowy fantasta”.

Zgadza się, że Tico Feo był fantastą. Po tym wieczorze trzeba go było aż błagać, żeby zagrał na gitarze. Rano kiedy strażnik przychodził budzić ludzi walał młotkiem w stół, Tico Feo kwilił jak niemowlę. Niekiedy skrzył się, że jest chory, jęczał i nacierał wyłękę, ale nigdy nie udawało mu się wykręcić, bo i tak naczelnik wysyłał go do roboty ze wszystkimi. On i Schaeffer robili w grupie, która pracowała na rozstajach dróg. To był kawał roboty, to kopanie na mrozie brył gliny i noszenie worków z kamieniami, aż się człowiek uginał.

Strażnik odgrażał się, że zastrzeli Tico Feo, bo ten migał się cały czas. Każdego po południu, kiedy blaszanki z jedzeniem stały dokoła, przyjaciele siadali razem. W blaszance Schaeffera było niekiedy trochę dobrych rzeczy, zwłaszcza gdy postarał się o jabłka i smakotyki z miasteczka. Chętnie dawał coś kumpłowi, bo ten kompan wprawiał go w dobry humor i refleksję; Dopiero rośniesz, jeszcze trochę potrwa, zanim zostaniesz dojrzałym mężczyzną”.

Wkrótce Tico Feo dostał się zaszczytu posiadania łódki w pobliżu plaży, obok pana Schaeffera. Pan Schaeffer wiedział zawsze, że jego kompan jest niesamowitym blagierem. O spotkaniach ze znakomitymi ludźmi, przygodach, sukcesach, i innych numerach słuchał nie dlatego, że wierzył w to wszystko. Sprawiało mu to przyjemność. Były to równe kawałki, takie, jakie można przeczytać w tygodnikach i głos kompana, tropikalny, szepczący w ciemnościach, rozgrzewał go. Był jak kochankowie, chociaż nie spaliłi swoich ciał, chociaż nie mieli weale tego zamiaru robić, chociaż takie rzeczy w ośrodku więziennym nie były nieznanne. Wiosna jest najbardziej wstrząsającą porą roku: zimowa skorupa ziemi pęka kłódkami, stare, opuszczone martwe gałęzie trzaskają młodymi liśćmi, senny wiaterek kołuje nad niemowlęcą zielenią.

Z panem Schaefferem było tak samo. Stwardniałe mięśnie trzeszczały, rozluźniając się. Akurat był koniec stycznia. Kompani siedzieli na schodkach baraku sypialnego, każdy trzymał papierosa w rękę, księżyc cienki, złoty, jak plasterek cytryny gładził się nad nimi, i je-

go światła błyskały na zamazanej ziemi jak srebrne ślady weża.

„Opowiedz coś”, powiedział pan Schaeffer, który się denerwował i był bezradny, kiedy nie mógł wpłynąć na kompana. „Opowiedz coś o swojej włóczędze w Miami”.

„Nie włóczyłem się w Miami”, powiedział Tico Feo zdobywając się w ten sposób na największe kłamstwo, bo przemilczał te setki dolarów, to spotkanie z Bing Crosby. Ale nie przejmował się tym. Zrobił grzebień i przeciągał nim teraz po jedwabistych włosach. Kilka dni temu jego grzebień był przyczyną ostrej awantury. Jeden z mężczyzn, Wink, zawołał, że Tico Feo ukradł mu grzebień, na co oskarżony odpowiedział splunięciem mu w gębę. Tarzał się dokoła, aż pan Schaeffer i inni rozdzielili ich. „To mój grzebień, powiedz mu”, żądał Tico Feo od Schaeffera, ale Schaeffer ze spokojną stanowczością powiedział, że nie, to nie był grzebień jego kompana. Odpowiedź ta zmartwiła wszystkich. „Jeżeli chce mieć ten grzebień”, powiedział Wink, „to niech go sobie weźmie”. I później niepewnym, zmieszonym głosem Tico Feo powiedział: „Myślę, że byłeś moim kompanem”. „Jestem”, pomyślał pan Schaeffer, jakkolwiek nie powiedział.

„Nie włóczyłem się nigdzie, a to, co mówili o tej wdowie, to też nieprawda”, wściekły kłab dymu tytoniowego buchnął na pana Schaeffera, potem Tico Feo spojrział na niego ewanjelcko. „Panie, niech pan powie, forsę pan ma?”

„Będzie z dwadzieścia dolarów”, powiedział pan Schaeffer niepewnie, przeczując dokąd to prowadzi.

„Nie wielkiego, dwadzieścia dolarów”, powiedział Tico, ale nie był rozczarowany. „Nieważne, znajdziemy dla siebie zajęcia w Mobile, tam weźmie nas na swoją łódź mój przyjaciel Frederico i będziemy pracować razem”, powiedział to takim tonem jakby zakomunikował, że się ożebilo na dworze.

Pana Schaeffera ścisnęło coś w sercu; nie mógł wymówić ani słowa.

„Tico biega najszybciej, nikt tutaj z tych, co są, nie dogoni go” — powiedział Tico.

„Kulki biegają szybciej” powiedział pan Schaeffer ledwie żywy. „Ja jestem za stary” — powiedział i pomyślał z obrzydzeniem o swoich pięćdziesięciu latach. Tico Feo nie słuchał. „Taki jest świat, świat, el mundo, przyjacielu”. Wstał i zarzął jak młody żreback, wszystko dla niego było proste — księżyc i wołanie sów. Oddech stawał się coraz szybszy i zamieniał w klaczek pary w powietrzu.

„Może pojedziemy do Madrytu, może zostanieforeadorem, co pan o tym myśli, panie Schaeffer?”

Ale pan Schaeffer już nie słuchał. „Jestem za stary”, powiedział. „Jestem cholernie stary”. Przez kilka następnych tygodni Tico Feo laził za nim z tym swoim, świat, świat, el mundo, przyjacielu, el mundo i tamten miał dosyć. Zamknął się w ustępie i zwiesił łeb. Denerwowało go to, męczyło. Ale co by było, gdyby okazało się prawdą to wszystko, co Tico mówił o włóczędze morzami i przez dżungle. Nagle wyobraził sobie w łodzi, on, który nie widział nigdy morza, on, którego całe życie było zakorzenione na lądzie. Z dworu było słychać jak zbijałi deski na trumne. Umarł jakiś więzień. Przy wbianiu każdego gwoźdźka pan Schaeffer skandował: „To jest mój gwoździe, to gwoździe dla mnie”.

Kiedy robota przy drodze była ukończona, pana Schaeffera i Tico Feo przemiesiono w głąb lasów. Dla uczczenia Valentine's Day, jedli swój posiłek pod sosną. Pan Schaeffer wykombinował kilkanaście pomarańczy z miasteczka i obiecał je powoli związać skórki w spirale, soczyste kawałki dawał kompanowi, który był dumny i spluwał pestkami na odległość prawie dziesięciu stóp.

Był piękny mroźny dzień. Płatki światła słonecznego trzepotały jak motyle i pan Schaeffer, który lubił robotę przy drzewie, czuł się jakoś metnie i błogo. Wtedy Tico Feo powiedział: „Ten to by muchy z gęby nie wypuścił”. Miał na myśli Armstronga, mężczyznę z solidnym karciem siedzącego opodal i trzymającego karabin między nogami. To był nowy strażnik, najmłodszy w ośrodku.

„Nie wiem” powiedział pan Schaeffer. Obserwował Armstronga i zauważył, jak to zwykły zauważał ludzie stateczni i powolni, że nowy poruszał się z lekkością.

„Uważaj, żeby on z ciebie wariata nie zrobił”.

„Ja wystrychnę jego na wariata”, powiedział Tico Feo i splunął ziarnem pomarańczy w kierunku Armstronga.

Strażnik zerknął społe lba. Zaćwierkał na gwizdki. To był sygnał, aby rozpocząć robotę.

Po południu dwaj kompani zeszli się znowu razem, przybijali blaszanki na żywicię do drzew, które stały tu blisko siebie. Gdzieś niedaleko było słychać trzask lamanych gałęzi.

„Woda nas nie zdradzi” powiedział Tico Feo przezornie jakby sobie coś przypomniał.

„Wskoczmy na brzeg jak się ściemni, potem biegiem przed siebie, a potem wleziemy na drzewa, co panie?”

Pan Schaeffer zaczął walić młotkiem ale trzęsła mu się ręka i młotek wyrzucił go w kciuk. Obejrzał się za kompanem pustym wzrokiem. Jego twarz nie miała uczucia bólu i nie wziął palca do ust co mogłoby po prostu zlagodzić ból.

Niebieskie oczy Tico Feo zdawały się puchnąć jak bańki mydlane i kiedy w głosie cichszym niż wiatr na szczytach sosen zabrzmiało: „Jutro”, Schaeffer nie nie widział poza jego oczyma.

„Jutro, panie?”

„Jutro”, powiedział pan Schaeffer. Pierwsze barwy poranka padały na ścianę baraku sypialnego i pan Schaeffer, który trochę jeszcze odpoczywał, wiedział, że Tico Feo już nie śpi.

Oczami ciężkimi jak ślepia krokodyla obserwował ruchy swojego kompana na sąsiedniej przycy. Tico Feo rozsupływał węzeł wstążki, którą owiązane były jego skarby. Przede wszystkim wyjął lusterko kieszonkowe. Jego światło drgało mu na twarzy jak rozgwiazda. Przez chwilę przyglądał się sobie z powagą, zadowolony, uczesał się, układał włosy jakby wybierał się na towarzyskie rendez-vous.

Potem przewiesił różaniec na szyi. Wody kolońskiej i mapy nie ruszał. Ostatnią rzeczą, którą zrobił, było strojenie gitary. Inni już się ubierali, on siedział na brzegu przycy i stroił gitarę.

To było dziwne, bo chyba musiał wiedzieć, że nigdy już nie będzie na niej grać.

Piski ptaków szły za ludźmi przez las parujący poranną mgłą. Szli gesiego, piętnastu chłopca i strażnik coraz to wyrównywał linię szeregu.

Pan Schaeffer spocł się jakby był upał i nie mógł w marszu dotrzymać kroku kompanowi, który w prozdzie gwizdał na palcach do ptaków.

Miał być dany sygnał. Tico Feo miał zawołać: „Czas na odpoczynek” i odejść między drzewa, ale pan Schaeffer nie wiedział, kiedy to ma się stać.

Strażnik, który nazywał się Armstrong zagwizdał i ludzie rozproszyli się łamiąc szereg i udali się do swoich zajęć. Pan Schaeffer, jakkolwiek chodził kolo swojej roboty, jak tylko umiał, dbał o to cały czas, aby z zajmowanej pozycji mógł utrzymać w polu widzenia postać strażnika i Tico Feo. Armstrong usiadł na pleńku, przeżuwany tytoń wykrzywił mu gębę i karabin sterował mu łufą w niebo. Jego oczy, szulera karcanego patrzyły tak, że nie można było się zorientować, gdzie on patrzy.

Któryś z mężczyzn dał znak. Jakkolwiek pan Schaeffer wiedział, że to nie

był jego kompan, panika skoczyła mu do gardła jak pęta.

Kiedy poranek już się rozproszył, bębniło mu w uszach i bał się, że nie usłyszy umówionego sygnału. Słońce wspięło się do zenitu. „To jałowy fantasta, nigdy mu się nie poszczęści, myślał pan Schaeffer, próbując przez moment w to uwierzyć. Ale Tico Feo powiedział, „Przede wszystkim coś zjemy”; to było rzeczowe i postawili swoje porcje obiadu na brzegu rzeki przy zakręcie. Jedli milcząc suchy prowiant i trawili ich nieufność, ale wreszcie pan Schaeffer poczuł dłoń przyjaciele w swojej dłoni i przytrzymał mu ją w mocnym uścisku.

„Panie Armstrong, czas na odpoczynek”.

Przy urwisku, nad brzegiem pan Schaeffer dostrzegł słodkie, kauczkowe drzewo i pomyślał, iż niedługo będzie włosna i słodka guma będzie się nadawać do żucia. Ostry kamień rozdarł mu dłoń, kiedy ześlizgiwał się stromym urwiskiem do wody. Wyprostował się i zaczął biec; nogi miał długie, biegł prawie równolegle z Tico Feo, lodowate gejzery wody skakały na niego. Z tyłu i z przodu w lesie dudniły strzały jak głosy w pustej jaskini, trzy strzały poszły tak wysoko jakby strażnik kropił w chmurę gęsi.

Pan Schaeffer nie zauważył kłody leżącej w poprzek brzegu. Myślał, że jeszcze biegnie, a jego nogi wyrzuciły o kłodę, i zdawało mu się, że jest ptakiem leżącym na grzbiecie. Kiedy walczył z tą kłodą zaczęło mu się wydawać, że twarz jego kompana zawieszona nad nim była częścią zimowego nieba, taka daleka, nieublagana.

Wisiąta tam, ale przez chwilę, jak kofiber, i teraz, pomyślał, że to nie wina jego kompana, nigdy przecież nie takiego nie mógłby zrobić, i przypomniał sobie, jak kiedyś zastanawiał się, że jego kompan musiał już dawno stać się dojrzałym mężczyzną.

Kiedy go znaleźli, leżał w płytkiej, do kostek wodzie, jakby było letnie popołudnie, a on beztrudno pływał w strumieniu.

Od tego czasu minęły trzy zimy i każdy prorokował, że ta będzie najdłuższa. Dwa ostatnie miesiące deszczowe wyżyłoby głęboko, gliniaste koleiny wiodące do ośrodka i dostać się tutaj jest trudniej niż dawniej, i żyć tam jest trudniej niż dawniej.

Dodano ścianom dwa reflektory i płonąca cała noc jak oczy olbrzymiej sowy. Ale z drugiej strony nie się nie zmieniło. Pan Schaeffer na przykład wyglądał tak samo jak dawniej, poza tym chyba, że na włosach ma więcej siwizny i w rezultacie nieudanej próby ucieczki zwichnął kostkę i kuleje.

To samo naczelnik powiedział, że pan Schaeffer zwichnął sobie nogę, próbując złapać Tico Feo. Było nawet zdjęcie pana Schaeffera w gazecie z podpisem: „OBYWATELSKA POSTAWA WIĘZNIĄ”.

Ale w tym czasie był przygnębiony nie dlatego, że niektórzy mężczyźni z tego się śmieli, ale dlatego, że oglądając to zdjęcie, widział Tico Feo. Ale i tak wyciął je nożyczkami z gazety i trzymał w kopercie z kilkoma wycinkami należącymi do jego kompana; kobieta, mówił w tajemniczy, jakaś stara panna, do której domu wskoczył i zaczął ją całować, uratowała go, inni znów opowiadali, że oglądano go w okolicach Mobile, aż wreszcie uwierzono, że wyjechał z kraju. Nikt nigdy nie kwestionował tego, że gitara należy do pana Schaeffera. Kilka miesięcy temu przeprowadzono nowego więźnia do sypialnego baraku. Mówią o nim, że gra świetnie i proszą pana Schaeffera, żeby mu wypożyczył gitarę.

Ale wszystkie melodie są jakies ponure, bo chociaż Tico Feo nastroił gitarę tamtego poranka, to jakaś kłótwa ciąży na niej. Gitara leży pod przewą pana Schaeffera, i szklane diamenty powoli zółkną, niekiedy, w nocy, jego dłoń odnajduje gitarę i palce biegają po strunach w świąt.

Tłumaczył: JERZY WALEŃCZYK



YVES BONNEFOY

Przełożył JULIAN ROGOZIŃSKI

SZTUKA POEZJI

Spojrzenie siłą wywleczone z nocy.
Znieruchomiałe wysuszone ręce.
Zawarty pak z gorączką. Powiedziano sercu,
Żeby sercem było. Był demon w tych żyłach
I z krzykiem uciekł.
W ustach był głos głuchy skrawiony
Omyło go i przywołano.



OGIEŃ OKALECZAŁY

Zajęły się galezie: ogień jest ich losem;
Serce im obrócił w ziab i sypkie gruzy.
On, co zdążał do portu wszelkich rzeczy martwych
Na wybrzeżach odpocznął materii.

Wypali. Ale, wiesz, nadaremnie;
Krag nagłej ziemi spod ognia powstanie,
Rozrośnie się pod ogniem gwiazda czarnej ziemi,
Gwiazda śmierci rozświetli nam drogi.

Zestarzeje się. Strumień zakrzewiony cieniem
Zazna pochodu ognia do granicy mrozu.
Idea też przekracza materię, którą trawi
I wyrzeka się czasów, których nie ocala.

VENERANDA

Modląca się jest sama w niskiej mrocznej sali
Suknie ma barwy czekania na zmarłych
A to błękit najbardziej w tym świecie wypelżył
Co luszcząc się odsłania oheń nągich głazów.
Dzieciństwo jest samotne, jak zawsze nieznani
Przybysze pochylają się z lampami nad nią;
Spisz? Obecność twa nieukończona parzy
Jak dusza, którą w słowach tych niosę ci jeszcze.

Jesteś sama, zestarzałaś się w tym pokoju,
Zatrudniająć się czasu i śmierci pracami.
Ale słuchaj, wystarczy by głos niski zdrzął
A świat spłynie po szybach umarłego czasu.



SUKNIE

Wtajemniczona w noc ma cztery suknie włożyć,
Pierwsza żar, druga wiatr,
A trzecia nieba strop i woda, krzyk, zwykła włosienica
Rozkaz paść na kolana, ufać
Lecz ostatnia rana pełzała ziele
Otechłań bezkształtna
Tam stoczyć się naga i zaraz martwa, negacja.

Chyba żaden z wybitnych francuskich poetów średniego pokolenia nie mógłby wyprzeć się swoich związków z surrealizmem. Każdy z nich musiał zająć wobec tej szkoły stanowisko żywe i czynne — twórczość jej i teorie akceptować lub odrzucać; albo też, jak Yves Bonnefoy, na drogach surrealizmu znaleźć drogi własne, coraz wydawałoby się odleglejsze od początkowych poczynań poety, którym patronował André Breton — a jednak noszące niezatarty ślad jego wpływu. Surrealizm na pozór tylko był poezją chaosu; tkwiące w nim ziarno racjonalnego ładu od pierwszej chwili dawało znać o sobie zarówno u Bretona, jak u Eluarda, Chara, Aragona i innych, co najlepszym dowodem jest również w surrealistycznym okresie twórczości Yves Bonnefoy, urodzonego w roku 1923. Okres ten przypada na lata 1945—1947 — po czym poeta zwraca się ku dość swoiście pojętemu klasycyzmowi: swoiście, ten bowiem dzisiejszy zwolennik rygorów Pawła Valéry nie przestrzega ani tradycyjnej strofy, ani kadencji i rymu wiersza francuskiego. Powiedzieć by można, że postępuje się nimi jedynie, jako rodzajem ramy, która pozwala mu na koncentrację maksymalnej treści lirycznej w minimalnej ilości słów. Taki charakter mają utwory zawarte w dwóch ostatnich tomach poetyckich Bonnefoy: „Hier régnant désert” oraz „Pierre écrite”. Fundament teoretyczny tej liryki znajdziemy w tonie szkiców „L'Improbable”, który w roku 1959 otrzymał Prix de la Nouvelle Vague. Bonnefoy szuka idealnej — a więc w istocie swej nieosiągalnej — równowagi między słowem a wyrażoną przez nie rzeczą. Przedmiot pomyślany na nowo i na nowo wyrażony, staje się konkretem, „bytem” w sensie egzystencjalnym. Poeta stworzając „byty” ocala je przed śmiercią i zapomnieniem. Poeta, przywracając egzystencji obecność wyczuwalną dla naszych zmysłów, stanowi błąk nadziei wśród lęku, jakim przejmujemy nas niebyt. Poemat kondensuje więc i przedłuża obecność światła, który ma umrzeć.

J.R.

Południowa dzielnica Łodzi zwana Szlezyniem, słynęła z drewnianych facjatek, stawu okólnego kasztanami i licznych „flugów” gołębi. Szczyłała się również parafialnym kościółkiem i karuzelą, ale największy rozgłos przyniosła jej historia Teosi Pysiówny.

W dzielnicy miały już miejsce najrozmaitsze wydarzenia: był już napad na fabrycznego kasjera, samobójstwo aptekarza rozkochanego w farmaceutce, ale czegoś podobnego jeszcze nie było.

Od dawna, tradycyjnym zwyczajem, w ciepłe i pogodne wieczory mieszkańcy tej dzielnicy wylegali z dusznych izdebek na cienie podwórka lub przed bramami domów gapili się na przechodniów i pojazdy, wśród których trafiały się nawet i samochody.

Zwyczaj ten traktowano jako nieodzowny wypoczynek po harówce przy krosnach lub na murarce i żaden lokator za skarb święta nie przepuściłby okazji do wystawiania przed bramą.

Nie brakowało tu również i kobiet obarczonych palającymi się dziećmi i siedzącymi z dala od swoich „chłopów” na wyniesionych „ryczkach” i stołkach.

W całej dzielnicy, przed każdą bramą można było ujrzeć wystające gromadki, ale największe ludzi stało zawsze przed czterofacjatką wym drewniakami na ulicy Częstochowskiej.

Dom ten zamieszkiwali „szpinerzy” i „weby”, oraz trzech arystokratów w osobach: rzeźnika, malarza i murarza „Pyrki”, co był ostracem dzielnicy i chluba lokatorów. Inni gnieździłi się w odrapanej oficynie, do której przylegały bezpośrednio drewniane komórkę i wygódki.

W tym to właśnie drewniak urodziła się i wyrosła Teosia, jedynaczka spokojnej rodziny Pysiów. Zajmowali jedną z facjatek, której niskie okienka przesłaniała od słońca szeroka oficyna. Izdebka była tak wąska, że pomiędzy łóżkami mieścił się zaledwie stół. Prócz stołu szafa, wodniarka i żelazna kuchonka uzupełniały całe umeblowanie pochylego mieszkanca.

W gronie dorastających koleżanek, z których dwie mocno już były zaawansowane w miłość, właśnie Teosia wyróżniła się skromnością.

— Mój Boże, żeby nie ta twoja krótka noga, kto wie, czy nie byłabyś najpiękniejszą spośród nas dziewczyną — ubolewała z udanym współczuciem zezowata Mańka Fabisiówna, głosząc smutnej Teosi zaplecionej warkoczki. Wtedy nawet i kawalerszeczki, podskubując rozochoczone „dzioszki”, nie pozwalali sobie na żarty wobec nieszczęśliwej.

Zwykle około godziny jedenastej wieczorem, przed zamknięciem bram, rozchodzili się wszyscy do zapluskwionych izdebek. Rozigrana młodzież przenikała jeszcze ukradkiem w mroczną zakamarki korytarzy, ale z nastaniem północy jedynie kwilenia głodnych dzieci mały spokój podwórka.

* * *

Wszyscy wiedzieli, że Mańka Fabisiówna, zadurzyła się w Kazku Czystym, że Fela Mikoszezancka silka za „Cyckiem” z Zarzewa, ale nikt nie domyślał się, że czule serduszko Teosi usycha z miłości do „Pyrki”.

Zaczęło się przypadkiem. Pewnego wieczora na ulicy Rawskiej rozległ się krzyk i w tej samej chwili wypadł z zaułka umazany krwią Pyrka. Pierzchnęły sprzed bramy kobiety, bo o krok z tyłu pędził za nim, w postrzępionej koszuli, z kuchennym nożem, znany awanturnik „Bazela”. Dopadł go jak raz przed bramą i już go miał ugodzić w plecy, gdy raptem

wyrzawszy łbem o zatrzaśniętą w tym momencie furtkę, rozłożył się na chodniku. A kiedy nadbiegli kumple „Bazeli” i wysadzili zamek, za bramą nie było żywej duszy. Dopiero na drugi dzień wydało się, że to właśnie Teosia zatrzaśniętą furtkę przed nosem „Bazeli”. Nie dziwnego, że mówiono o niej w sklepikach i na ulicy. Gdy wychodziła przed bramę uśmiechano się do niej, a od czasu, jak wdzięczny Pyrka odpisał ze starym Pysiem pół „fiata”, wszyscy lokatorzy odnosili

się śpiewem pijanych biesiadników, a ochrypli „e-chot „Pyrki” wydawał jej się najcudowniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszała w życiu. I gdyby nie łagodna perswazja Grzelakowej, wynoszącej kubel, przesiedziałyby na studni do rana.

Pewnego razu przechodząc podwórkiem zdrętwiała z wrażenia, ujrawszy „Pyrkę” z wyfiokowaną dziewczyną. Nie dostrzegłi jej. Przeszli obok i zniknęli za bramą w świetle gazowej latarni.

Romans na przedmieściu

Antoni Kasprówicz



się do Pysiów z szacunkiem.

Od tego zdarzenia Teosia zmieniła się gruntownie. Sposepniła, przyblada i stała się milcząca. Za to jej oczy świeciły jak gwiazdy.

— Wiadomo — biadoliły sąsiadki kiwając głowami — gryzie się biedactwo z powodu kalectwa. Mężczyźni zaś wodząc oczami za rozkwitającą Teosią, dodawali: — Lata leca, a tu nie!

Pewnego dnia przechodzący Pyrka oblał Teosi przed bramą, ucałował jej leco i powiedział głośno: — Fajna byłaby z ciebie kochanka! Obecnie przy tym sąsiadki zareagowały natychmiast: — Nie takie kaleki, panie Pyrka, znalazły swoich mężów. A cóż to, Teosi brakuje co, czy jak? Ze ma nogie krótsze, no, to co? Baletnicą nie będzie...

Był zgrabny, więc nie dziwnego, że „siksy” obrzuciły go pożądanym spojrzeniem. Niektóre szły z nim w krzak nad pobliski staw. Popłakiwały uwiedzione, wdzy chały te najładniejsze, ale nikt nie domyślał się z jakiego powodu kulawa Teosia mizerniała z dnia na dzień. Do tej pory czuła jeszcze gorący pocałunek „Pyrki”. Całym sercem pragnęła ujrzeć go po raz drugi osaczony przez „ferajnę”. Teraz rzuciłaby się na samego „Bazela”.

Ostatniej niedzieli, gdy „Pyrka”, jako że był jego imiennym, wyprawił dla kumpli libacje, Teosia skulona na studni wysłuchiwała do późnej nocy płynących z otwartego okna melodii. Drząc z chłodu zachwycała

Po tym wypadku przez kilka dni leżała w gorączce. Dozorczyni stawiała jej bańki i przykładała na czole plasterki surowych ziemniaków. Zapewne jej to pomogło, bo po kilku dniach powróciła Teosi rumieńce.

Martwili się jednak Pysiowie spoglądając na osępiąłą jedynaczkę, która pacierza nie odmawiała teraz przed nocnym spoczynkiem. Bywały chwile, że nie odpowiadała nawet na pytania rodziców. Namysłano się, czy nie sprowadzić jej księdza lub znachora. Przeszkodził temu Kazk Czysty, który podarował chorej klatkę z rozpiewanym szczygłem. Teosia jednak nadal stroniła od rodziców i sąsiadek. Odmieniło się to naraż, gdy pewnego dnia Pysiowa, powracająca ze sklepu, doniosła mężowi:

— „Pyrka” indultem dał na zapowiedzi. W sobotę będzie ślub.

— A kogo ten byk bierzę? zdziwił się Pys.

— Jak to kogo? Jaką tam suchą srokę z „Doleczka”.

— Z „Doleczka”? A mało to dziewcząt w naszej dzielnicy.

— A jemu właśnie ta się podobala i co mu zrobisz? — Będzie żałował, zobaczysz, stara! Każda sucha baba, to jedza.

— Ze niby jak? — obraziła się Pysiowa.

— Ależ, Walerciu, ty nie jesteś sucha, tylko chuda.

— Powiadają jeszcze — trajkotała Pysiowa — że ta sucha sroka przepada bardzo za robotą „bez kurzu”.

— A która nie przepada? — zaopiniował Pys oglądając się znieczeka na córkę wybiegającą z mieszkania.

— Co się jej stało? — zawołała zdumiona matka.

— Daj spokój, stara. Niech się wywietrzy — perswadował Pys żonie. Po kilku dniach przy-

zwyczajono się do widoku smutnej i milczącej Teosi. Monotonne życie toczyło się nadal swym skrzypiącym kołem. Jesienne niebo coraz częściej popłakiwało nad pochylonymi drewniakami. Jak wiatle świecie gasy wypalone dni. Z niecierpliwością oczekiwano weselnej soboty.

— Podobnież pojedą karetą i będą im grać na organach „Oto Boże, serc tych dwoje” — rozpowiadały w maglu wszystkie wiedzące sąsiadki.

— Ja wiem tylko tyle, że na weselu będzie dziobaty Broniek z harmonią — przechwalała się maglarka nawijając białinę na walek.

— Zapraszał nas „Pyrka”, ale mój stary powiedział, że nie pójdziemy w taką grandę — oznajmiła inna, spoglądając z wyniosłością na kumoszki.

W dzień ślubu jednak wszystkie sąsiadki pobiegły do kościoła zobaczyć jak ksiądz będzie nakładał tom-bakowe obrączki. Nieleżna tylko wyczekiwały w bramie powrotu „młodej pary” ciekawe, jak zaprezentuje się ulicy oblubienica w wypożyczonej sukni. Obok Marysi Fabisiówny i Kazka Czystego oczekiwala również powrotu „młodych” opatulona w matczyną chustę Teosia Pysiówna, dopytując się co chwile drzącym głosem: — Czy już jadą?

A kiedy rozpedzone grzywosze, te, co zwykle ciągną karawan, stanęły buchając parą przed domem, z otwartej karety czarno odziany „Pyrka” wywiódł śnieżną małżonkę. Nagle zakotłowało się przed bramą i rozległ się krzyk: — Boże, moje oczy!...

To pani młoda, którą zazdrośna Teosia oblała kwasem solnym, wzywała rozpaczliwie pomocy.

Gdy nadjechała drużba i wybiegli z podwórza goście weselni, zaalarmowane pogotowie odwoziło już nieszczęśliwą do szpitala.

Trudno opowiedzieć, co się działo dalej. Zrozpaczony „Pyrka” w przystępie szału oderwał z bramy poprzeczke i rozpedził zbiegowisko. Potem porzucił drąg, pobiegł do weselników i jednym kopnięciem wyrwał zastawiony stół. Niesamowity krzyk przeniósł się niebawem na podwórko. Podchmieleni goście z ojcem „młodej” na czele wypadli wprost na schody drewniaka. Wyważyli drzwi mieszkam Pysiów i zdemolowali całe umeblowanie.

W godzinę później siną i opuchniętą Teosią wraz z nieprzytomną matką zabralo to samo pogotowie, które niedawno odwoziło suchą „srokę”.

Gdy zaalarmowana policja przybiegła na miejsce wypadku, melodie tanga i wesole foxtrotty płynęły dalej przez otwarte okno „weselnika”.

— Szkoda było wódek i zagrychy — tłumaczył goście wystraszonemu lokatorom.

Na drugi dzień przyszła wiadomość, że młoda panią nie utraciła wzroku; zostaną tylko trwałe blizny na twarzy. Pęknięte żebro Pysiowej, jak zapewniał dyżurujący lekarz szpitala, powinno się zrosnąć. Tylko Teosia zmasakrowana i skopana po głowie nie odzyskała już przytomności. Tak, tylko Teosia...

Spotykaliśmy ją później na ulicach owiniętą w matczyną chustkę. Tułiła do piersi gałgankową lalkę i na gabywała przechodniów.

— Czy nie widziała paniusia mojego chłopca? Pani patrzy — zachęcała ucyłając skrawek chustki — dziecko głodne, a ten pijanica włożył się z kochankami!

Plakały niektóre kobiety litując się nad nieszczęśliwą, a dzieci biegły za Teosią i wołały: Zdradzona kochanka! Zdradzona kochanka!...

— Co się jej stało? — zawołała zdumiona matka.

— Daj spokój, stara. Niech się wywietrzy — perswadował Pys żonie.

Po kilku dniach przy-

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM CHAMCEM

— Panie Krzysztofie, jaką rolę chciał pan kiedyś w swoim życiu bardzo zagrać? Czy pragnienie to spełniło się?

K. CHAMIEC. — Kiedy ja zacząłem pracować w teatrze, nie od razu grywałem się Hamletów, zaczynałem się od małych epizodów. Ja debiutowałem, nie zgodnie Panu, w operetce, w Teatrze Muzycznym. Dublowaliśmy tam z Czechowiczem jakąś małą rolę. Dopiero potem, przechodząc rolę, które kiedyś wydawały się „szczytami marzeń”. Jedną z ról, którą lubiłem grać, bo dała mi najwięcej w sensie aktorskim, była postać Franciszka Moora w „Zbójcach” Schillera; występowałem w niej w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. I może właśnie dlatego,

że kiedyś wydawało mi się, że marzę o niej, starałem się ją zrobić inaczej, niż wszystko do tamtej pory grałem, zagrać ją wbrew wszelkiej tradycji, wbrew wzorom, jakie w pamięci zasiedziały Krakusów zostawili znakomici odtwórcy tej roli. Myślę, że ten eksperyment mi się udał, dowiódł tego i odbiór publiczności i recenzje.

— A czy teraz ma Pan jakąś rolę, jakąś postać ze sztuki, która Pana specjalnie frapuje?

K. CHAMIEC. — Owszem, „Kali-gule” Camusa. Grałem go kiedyś w telewizyjnej adaptacji. Ta postać mnie niesłychanie pociąga, jej olbrzymia skala, jej — bliskie współczesnemu człowiekowi — skomplikowanie i sprzeczności psychiczne. Poza tym miałbym wielką obojętność kiedys rolę Delfina w „Skowronku” Anouilha.

— Widziałam Pana w niej w Szczecinie, chyba osiem lat temu?

K. CHAMIEC. — Tak, ale wtedy byłem o parę lat młodszy, dziś zagrałbym ją inaczej, wiele od tego czasu przeżyłem, zrozumiałem i nauczyłem się. Pociąga mnie w tej roli dwugra, nie, więcej, powiedziałbym „trógrę”; człowieka zdrowego i niby idioty, albo człowieka na pół chorego, który ma genialne, przebliski świadomości, a może gra człowieka, który rozumiał historię i nikt nie znał znaczenia swojej roli w niej, więcej jeszcze, gra człowieka, który bawi się rolą chorego, obserwując czujnie swoje dworskie otoczenie.

— A jaką satysfakcję artystyczną dała Panu podwójna rola bliźni-

ków, Horacego i Fryderyka w gra-nym obecnie „Zaproszeniu do zamku” Anouilha?

K. CHAMIEC. — To świetna zabawa. Kiedy po kilku przedstawieniach byłem w ogóle zdolny zagrać ją — niestety, przed premierą miałem masę zajęć w filmie i zrozumieliśmy po prostu go w Horacym-Fryderyku — zaczęło mnie cieszyć, gdy spostrzegłem, że widownia dziwi się niesłychanie, jak można w parę sekund obliczyć kulisy, „wyskoczyć ze skóry” Horacego i skoczyć w postać Fryderyka. Oczywiście, to dowód zręczności czysto technicznej; po tej roli i sztuczce nie można było spodziewać się żadnych większych czy głębszych artystycznych satysfakcji. Po prostu dobra zabawa.

— Od kilku lat dość dużo Pan „kręci”. Czy praca w filmie, owa nieciągłość gry, a więc i niemożliwość skupienia się i napięcia, wynikająca z ciągłego przycykania i powtarzania ujęć — czy to może dawać aktorowi jakiegoś zadowolenie, poza samymi końcowymi wynikami artystycznymi?

K. CHAMIEC. — Na pewno tak, to oczywiście zależy w pewnym stopniu od przyzwyczajenia się do pracy w filmie, które pozwala się aktorowi opanować i skupić na roli, mieć potrzebna samowiedzę, świadomość tego co się robi. Bo ja osobiście nie wierzę w to, co mówią niektórzy starsi aktorzy, że aktor nie wie, czy gra dobrze czy źle. Aktor musi wiedzieć, tak samo jak w teatrze musi wiedzieć, czy stoi w świetle, czy słyszy go ostatnie rzędy; myślę tu po prostu o samokontroli w każdym momencie gry. Mnie osobiście przerywanie w filmie nie przeszkadza, przeciwnie, jeżeli na przykład mam jednego dnia sześć ujęć, czuję się jakbym miał sześć premier.

— Czy w związku z tym nie zanosi się na przejście Pana z teatru do filmu w ogóle?

K. CHAMIEC. — W tej chwili na pewno nie, na razie jeszcze lepiej się czuję na scenie, jestem pewniejszy siebie w teatrze, jeżeli w filmie dojdę do takich rezultatów, jakie udało mi się osiągnąć w teatrze, to siłą rzeczy — przeżyjemy przecięt i będziemy w dalszym ciągu świadkami coraz większej dominacji filmu i telewizji nad teatrem — chyba tak.

— Czy Pan przewiduje bliższy zerwanie z teatrem?

K. CHAMIEC. — Niewątpliwie. Tak jak na naszych oczach skończyły się dorożki, tak zaniknie będzie teatr. To nie znaczy, że zaniknie zupełnie, ale straci dotychczasową popularność. Będzie po prostu zamiast 52 scen w Polsce — kilkanaście teatrów. Dlatego też młode wyrastające pokolenie aktorskie powinno nastawiać się na film i telewizję. Żywa gra aktorska, pozostanie dla tych, którzy będą specjalnie lubili chodzić do teatru, czyli dla nas starszych.

— W czym Pana zobaczymy w teatrze w najbliższym czasie?

K. CHAMIEC. — Nie wiem, jak to w ogóle będzie z moim granieniem w teatrze. Jeżeli dyrekcja zgodzi się zwolnić mnie do filmu — wejdę w jeden z dwóch filmów, albo we współczesny, albo do „Faraona” w

reżyserii Kawalerowicza. W tym drugim wypadku, kręcenie przewiduje się na okrągły rok.

— Panie Krzysztofie, mówi się dziś dużo o supremacji inscenizatora i reżysera w teatrze. Pracował Pan z wieloma reżyserami, zdaje się także z Lidją Zamkow-Słomczyńską, z Erwinem Axerem. Niech Pan nam powie, z jakiego rodzaju reżyserem pracuje się Panu najlepiej?

K. CHAMIEC. — Więcej ja absolutnie nie nadawałbym się do teatru, w którym zaznacza się przerost funkcji inscenizatora i reżysera krępującego swobodę twórczą aktora. Nie zmieściłbym się chyba w teatrze Dejnika. Myślę, że nie można zabijać aktora, podobnie jak indywidualność aktora nie powinna zabijać — autora. Z nazwisk, które Pani wymieniła — owszem, cenilem sobie współpracę z Lidją Zamkow; ona ma zabawny system pracy, nie zwraca uwagi aktorom, ale pisuje do nich listy; zachowałem sobie taki jeden list, są tam ciekawe i trafne uwagi. Ale przede wszystkim odpowiada mi axerowski typ reżysera. Z początku, w roli Jana, myślę o „Pierwszym dniu wolności” Kruczkowskiego, reżyserowanym przez Axera, nie widziałem żadnego materiału do zbudowania tej postaci. Axer wydobyl z tekstu masę ciekawych rzeczy. On daje aktorowi dużą podbudowę intelektualną, psychologiczną, nie pozwala na żadne fałszywe, a zostawia przy tym dużą swobodę twórczą. Jeszcze po premierze chodził się z bagażem materiału, który pozwala postaci rozwijać się, a sztuce — zagęszczać się i rozrastać.

— A gdyby Panu dano teraz do wyboru możliwość grania w teatrze Villara, Barrauita i Bergmana, kogo by Pan...?

K. CHAMIEC. — (przerywa mi) Bergmana. O Villarze i Barrauite to my już coś wiemy, to już znamy. Bergman jest nowy, jest drapieżny. Zaskakujący i zagadkowy.

— Aktor, który Pana fascynuje?

K. CHAMIEC. — Lawrence Olivier. — A na ostatnie — mała niedyskrepcja. Jak się aktorowi gra w jednej sztuce ze swoją żoną — aktorką? Łatwiej czy trudniej niż z obcą kobietą?

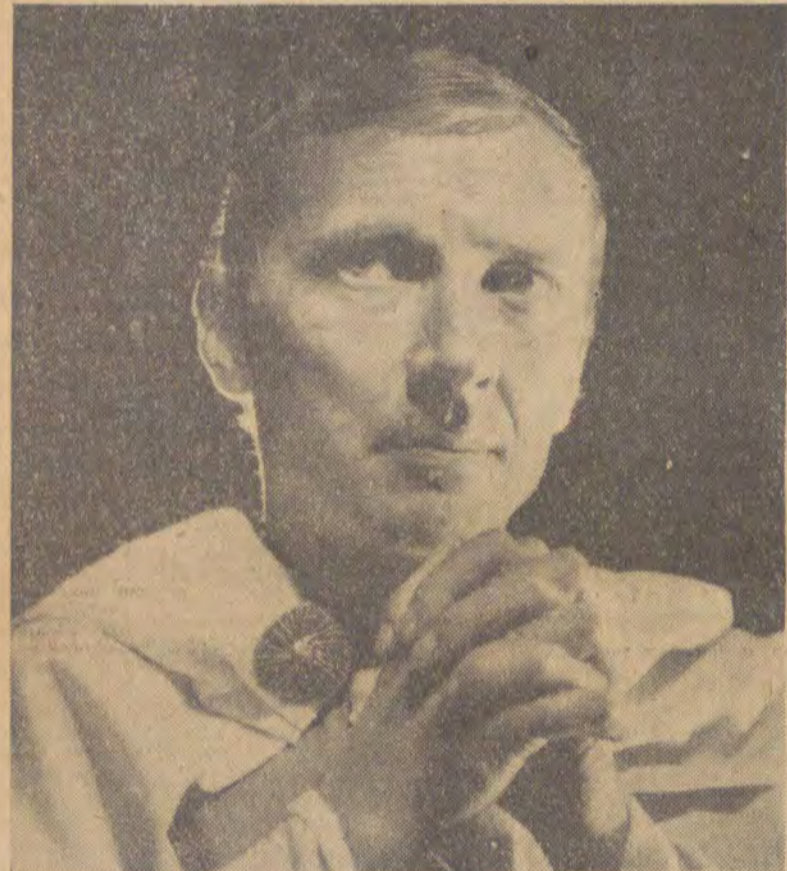
K. CHAMIEC. — No, w moim wypadku, jeżeli aktorka jest dużo młodsza jak FWA, to trudniej. Spostrzegłem niedawno, że grając z nią, wypadłem na chwilę z roli, zajęty obserwowaniem jej; jak mówi, jak się porusza na scenie.

GŁOS EWY MIROWSKIEJ (z boku) — Ja zauważyłam, proszę Pani, jak nagrywałam kiedyś coś w radio i ja właśnie mówiłam tekst, że Krzyszek porusza ustami. On bezwiednie powtarzał mój tekst.

— Pańskie hobby, Panie Krzysztofie? Co Pan robi najchętniej poza teatrem i filmem?

K. CHAMIEC. — Tenis. Jak tylko schwyję chwilę czasu między teatrem a filmem biegnę na korty i łukie piłkę. Gram przeważnie w parku Poniatowskiego, obok atelier filmowego na Łąkowej.

— A więc do zobaczenia w kwietniu i maju na kortach w parku Poniatowskiego. O ile dobre bogi nie wywiodą Pana wraz z Kawalerowiczem do Egiptu.



Krzysztof Chamiec w sztuce Szekspira „Cezar i Kleopatra”. Fot. F. Myszkowski

List do redakcji

Prostaczek obejrzał sobie duże zdjęcie artysty malarza Stanisława Fijałkowskiego zamieszczone w „Odgłosach” przeczytał notę bardzo poważnie, z filozoficzną zadumą oceniającą malarstwo abstrakcyjne tegoż artysty — i sam zadumał się wiele. Acz może metafizycznie, a jeśli tak to raczej z poczuciem owego nie całkiem amerykańskiego „com mon sense” czyli zyczajnie, z poczuciem zdrowego rozsądku. Potem przechodząc przez Piotrkowską, zobaczył wystawę Heleny Korbik znowu przeczytał w „Odgłosach” notę wysoko, ba! nawet entuzjastycznie oceniającą jej malarstwo, zakomunikował sobie w pamięci określenie z noty, że scharakteryzowała się ona chyba gdzieś z kręgu ekspresjonistów — pomyślał, że w tej materii nie może być wątpliwności „chyba”, tylko pewność umiejscowienia malarki w jakichś nurtach — i wpadł w głęboką rozterkę.

W malarstwie specjalnie oblatany nie jest, ot Prostaczek, chciałby od uczonych w tej materii dowiedzieć się czegoś, a tu ani w żab. I jedno dobre i drugie piękne. Co to znaczy — myśli sobie — czy typodniak społeczno-kulturalny jest pismem reklamowym, czy clerpi na eklektyczny smak, czy tylko robi dyskretnie uniki, aby nie drażnić lwów, wymigując się od jednoznacznych ocen, czy

może nie ma w ogóle wyrobionego stosunku, albo może i żadnego, do tak odrębnych bądź co bądź zjawisk jak Fijałkowski — abstrakcjonista i Korbik — postimpresjonistka, bo tak zdaje się uczeni w piśmie nazywają te nurty (Prostaczek-biedaczek podszedł do to na wernisażu), czy też może tygodnik taktycznie unika na zakrętach jawnego zamianifestowania swojego gustu. Bo nuż posądzą go jedni: o sprzy-

niści mają swoje korzenie w Cezannie, ale abstrakcjonisci mieli też swojego Kandynskiego i Malewicza i Strzeminskiego i wszystko to było też dosyć dawno. I o drobiazdzach jeszcze by się Prostaczek upominał, gwoli rozjaśnienia swojego plastycznego światopoglądu — o ile pokazywani na wystawach malarze są kontynuatorami, o ile epigonami kierunków, ile unoszą do danego nurtu wartości nowych,

liczne malarstwa abstrakcyjnego raz do niego przemawiają a raz nie? Może nie wystarczą być samemu filozofującym intelektualistą, aby móc sobie dać rady z przekazywaniem tych treści widzowi za pomocą obrazu, a może rzeczywiście prostaczkowie jeszcze nie dorosli do odbioru tych treści, ale jak to jest skoro raz okazują się dorosli pod tym względem, a raz — jako się rzekło — nie. Może to nie

od Europy, zamknąć się w jakiejś, nawet przebrzmiałej konwencji i zrobić coś swojego, polskiego, coś własnego „niepowtarzalnego”. Ot i sek Co jest w malarstwie Heleny Korbik własne, a co jest w niej niesioné ze „szkoły” z jej krakowskimi mistrzami, jak Cybisowa, której ponoć Helena Korbik jest uczennicą? Co przylatca wyobraźnię — jej własne widzenie przedmiotu, jej „czucie koloru”, co przy-

rajaca się o banał, w niektórych wypadkach — żurnalowa. Spece i medcy od malarstwa na pewno mają rację, poszeptując między sobą „ona ma szwung”, „ona czuje kolor”, „ona umie rysować”. Prostaczkowi podobają się jednak najbardziej obrazy te, w których owa kolorystyczna mgielka przestala już być celem sama w sobie, ale służy wyrażeniu czegoś własnego, owego swojego widzenia przedmiotu, więc podoba mu się „Portret Aliny I” — jakby kawiarnianej damy, nieco Toulouse-Lautrecowski, żartobliwy satyryczny, zdecydowany, ostry, wcale nie „słodki”. Zatrzymał się dobrą chwilę przed portretem sensu stricto, przed „Portretem Ireny”; świetne, zdecydowanym pociągnięciem pędzla zrobione włosy; zdramatyzowana gorączka i znuzeniem twarz modela. Jest w tym oczywiście coś poza rozrywkami kolorystycznymi, jest psychologia, literatura, owszem. Z portretów, których przedmiotem jest tylko pretekstem dla rozrywek kolorystycznych, najciekawszym wydaje się oszczędny w kompozycji, surowy w tonacji szarozielony „Portret Anki”.

Za to bardzo niedobra wydaje się Prostaczkowi kompozycja „Mewy” i to, co uczony w piśmie autor notatki nazwał w poprzednim numerze „Odgłosów” najlepszym osiągnięciem, ów vlastimilohoffmannowski błękitny portret przed lustrem, jakiejś jakby z rozwinętym włosom kobiety-wodnicy, skwijący w aurze młodopolskiej. Ale to przede wszystkim — tylko

KAMYCZEK DO OGRÓDKA

własnych, niepowtarzalnych, o ile są sami sobą dzisiejszymi, żywymi (tak zdaje się mówią np. o Nonosielskim, choć poszeptują przy tym o niejakiem Modiglianum i malarstwie bizantyjskim). Prostaczek chciałby jeszcze — bagatel — może i subiektywnego zdania sprawozdawcy, o ile sztuka omawianego tego lub innego malarza bliższa jest naszym dynamicznym czasom, niepokojom epoki, cywilizacji naszego wieku, skomplikowanej psychice dzisiejszego człowieka, względnie czym ma być sztuka dla niego.

Nieję podpisany nie będzie filozofował uczenie, bo się na filozofii malarstwa nie zna, ale chciałby na przykład wiedzieć, dlaczego treści filozof-

zaw sze i nie całkiem wina prostaczków? Może ich trzeba częściowo objaśnić w sposób niezaciekawiający?

Bo weźmy z kolei wystawę Heleny Korbik, wystrzegając się zezą. Prostaczek wędrując po wystawach postłuszył rozmowy „braci malarzkiej” i widzów, a niby że w ogóle dziesięciolecie międzywojennego nie był już żadną nowością wobec impresjonistów francuskich, a uprawianie go w r. 1963 jest zgola anachronizmem, a niby że impresjonizm już w ogóle wyzerpiał swoje możliwości i to nie jest na pewno nurt wyczerpujący drogę malarstwa współczesnemu, a to znów dla odmiany, że przecież można się odwrócić

wszystkich zaletach pędzla ma larki przeszkadza jej wyciągnąć dla siebie własne wnioski, na dzisiejsze czasy. Prostaczek tego by się od uczonych w piśmie chciał dowiedzieć, a tymczasem pozwolił sobie rzucić swój własny, osobisty kamyczek do ogródka pani Korbik, nie chcąc za bardzo łamać jej „Kwiatów” i mąci kolorowego widzenia świata. Być może że Prostaczek lubi ostre biele Utrilla, szarość Corota, że cechy surowości drapieżności bardziej wydaje mu się „dzisiejsze” bliższe napięciu emocjonalnych naszego wieku i dlatego raz go w malarstwie p. Korbik owa peroratoryjnie rozumiana „czułość” kobleca niektórych „glówkę”, ładność ocie-

PROSTACZEK

ekranik

JESZCZE O AZNAVOURZE

Ten drobny brunet nie ma jeszcze 40 lat. Przez dwadzieścia lat skomponował ponad 1.000 piosenek. Jest przede wszystkim kompozytorem, potem dopiero piosenkarzem. Jest naczelnym dyrektorem i udziałowcem prawdziwej fabryki piosenek — ma 6 przedsiębiorstw, zatrudnia 60 urzędników, 3 radeów prawnych, 6 księgowych.

Sam Aznavour śpiewa w pięciu językach. Prowadzi bardzo uregulowane i „zaplanowane” życie. Na zmianę: dwa lata — tournée z koncertami i dwa lata pracy w filmie. Jak sam twierdzi, to jedyny sposób by nigdy nie znużyć się publiczności. A niezależnie od innych zajęć, stale poświęca dwie godziny dziennie na komponowanie. Spija po pięć godzin na dobe. Najbliższe plany: tournée z koncertami — Francja, Szwajcaria, ZSRR, USA, Antyle, Kanada, Ameryka Południowa.

Jego życie jest zaplanowane szczegółowo już do roku 1970...

100.000 AMERYKANÓW ŁADUJE W NORMANDII

W tym roku mija 20 lat od wyzwolenia Francji. W związku z tą datą przewidziane są specjalne uroczystości. Na plażach Normandii ma być zainicjowane lądowanie armii alianckich; weźmie w nim udział 100.000 weteranów ostatniej wojny, byłych żołnierzy amerykańskich.

20 sierpnia ulicami Paryża, tymi samymi, którymi wchodziły do miasta armie sprzymierzone, przejadą stare wojskowe auta i czołgi z dywizji gen. Leclerca.

Obechodzona też będzie rocznica bitwy nad Marną (1914 r.), weterani w mundurach z pierwszej wojny światowej przedefilują w starych taksówkach.

B. B. — OBLĘŻONA W BRAZYLII

Czterodniowa blokada w hotelu Copacabana — rozpoczęły się brazylijskie wakacje Brigitte Bardot, dokąd wybrała się na urlop ze swym narzeczonym Bobem Zaguri.

Dniem i nocą hotel był oblężony przez tłum wielbicielek skandynawki imię B.B. „Gwiazdka” była na pograniczu kryzysu nerwowego.

Po pertraktacjach z władzami i dziennikarzami przyszła w odstępek policja — pięćdziesięciu żołnierzy pilnowało wszystkich wejść do hotelu i eskortowało Brigitte. W zamian B.B. i jej narzeczony zobowiązali się do kontynuacji — wielkiej konferencji prasowej w ratuszu.

Następnie w gazetach brazylijskich ukazały się najfantastyczniejsze artykuły. Jedne twierdziły, że B.B. chce nabyć wielką plażę pod Erio, inne, że przyjechała ona w specjalnej misji zleczonej przez gen. de Gaulle’a, w celu zażyczenia stosunków między Paryżem i Rio.

wg „Paris Match”
IRENA ŻUCHOWICZ

ŁÓDZCY PLASTYCY W LONDYNIE

Rząd postrzępionych sylwetek — to pnie akacji. Na tym tle czerwienią się miedziane płyty. Na miedzi wytrawione rysunki — historia miast polskich.

Całość bardzo piękna i oryginalna stanowi jeden z elementów plastycznych Biura „Lotu” i „Orbisu” w Londynie. Autorów tego oryginalnego projektu nie należy jednak szukać w Paryżu. Autorzy mieszkają... w Łodzi. Łódzki rzeźbiarz Antoni Biłas oraz graficy Leszek Różga (wystawiający niedawno swe prace w Klubie Dziennikarzy) i Benon Liberski są właśnie twórcami tego pełnego ekspresji wnętrza polskiej placówki.

Zdaje się, że na londyńskim biurze nie koniec, bo jak słychać łódzcy artyści dostali już zamówienie z Wiednia na podobny projekt. To oczywiście cieszy zarówno artystów jak i nas, ale nas cieszyłoby bardziej, gdyby tak mogli oni zrealizować w Łodzi jedną ze swoich pięknych koncepcji.



U SASIADÓW

PREMIERA „CISZY”

W najnowocześniejszym kinie Moskwy — „Rossija” odbyła się premiera filmu Bondariewa i Basowa. Obie serie wyświetla się w ciągu jednego seansu. Bilety zbiorowe sprzedano na styczeń, luty i częściowo na marzec.

300 DNI BLOKADY

W dwudziestą rocznicę przerwania blokady bohaterskiego Leningradu wyszła m. in. książka pt. „Z piórem i automatem”, opowiadająca o pracy i działalności pisarzy i dziennikarzy w pamiętne i trudne dni. Wśród czterdziestu sześciu autorów znajdziemy nazwiska Ołgi Berghole, M. Tichonowa, Aleksandra Prokofiewa, W. Kietlińskiego.

JĘZYK JORUBA

Ukazała się nakładem Wydawnictwa Literatury Wschodu książka Wiktorii Jakowlewej „Język joruba”. Język ten jest rozpowszechniony przede wszystkim w Nigerii. Posługują się nim także znaczna część ludności Republiki Dahomeju i Togo. W książce autorka podaje informacje historyczno-etnograficzne o narodzie joruba, a następnie analizuje cechy fonetyki i kategorii gramatycznych tego języka.

75 LAT

Znany gruziński poeta i dramaturg Sandro Szanszawili ukończył 75 lat. Największe uznanie i popularność zdobyły sobie jego dramaty historyczne: „Arsen” i „Georgij Saakadze”. W Tbilisi odbył się wielki wieczór jubileuszowy.

PIERWSZY SŁOWNIK

Dunganie — to niewielki naród, mieszkający na południu Kazachstanu, w Kirgizji i w Uzbekistanie. Dopiero po rewolucji powstało piśmiennictwo dungańskie. Niedawno pracownicy nauki i działu kultury dungańskiej Kirgiskiej Akademii Nauk ułożyli pierwszy dungański słownik ortograficzny. Liczy on ok. 12 tys. słów.

PUŚCIZNA LITERACKA
NAZIMA HIKMETA

Sekretariat Związku Pisarzy Radzieckich powołał komisję, która zajmie się gromadzeniem i uporządkowaniem puszczyn literackiej dobrze znanego i u nas pisarza tureckiego.

PIEŚN ESTOŃSKA

Akademia Nauk Estońskiej SRR rozpoczęła wydawanie wielotomowej pracy, poświęconej estońskiej pieśni ludowej. Wydawnictwo to ukazuje się pod tradycyjną nazwą „Vana Kannel” („Stare gęśle”). Tak bowiem nazywały się pierwsze naukowe publikacje pieśni ludowych Jeszeze w ub. wieku opracowane przez wybitnego estońskiego badacza folkloru Jakuba Hurta. Nowa praca, zawierająca sto tysięcy motywów i fragmentów pieśniarskich, będzie jednym z najważniejszych zbiorów folklorystycznych w świecie. Czująca nad wydawnictwem wybitni uczeni estońscy — Herbert Tempere i Eduard Laugaste.

CHAIM BIALIK

W grudniu ub. r. obchodzono w Izraelu 90 rocznicę urodzin Chaima Nachmana Bialika, wybitnego poety hebrajskiego. W 1916 roku pisał o nim Gorki: „Bialik jest wielkim w moich oczach poetą, wyrazicielem ducha i uczuć swego narodu. Podobnie jak Izajasz, utłumiony przez mnie prorok... Bialikowi nie są jednak obce słowa proste, ludowe, bezosobne i ludzkie... Bialik urodził się na Wołyniu, był tłumaczony i na polski. Zmarł w 1934 roku.

„KRYTYKA”

Nowe pismo pod tym tytułem zaczęło ukazywać się w Budapeszcie. Poświęcone sprawom literatury i sztuki, jest organem Zw. Pisarzy Węgierskich, Instytutu Historii, Literatury i Literackiego Tow. Naukowego.

EMINESCU

JAKO BADACZ FOLKLORU

Rumuńska Akademia Nauk wydaje pisma zebrane narodowego poety. Szósty kolejny tom Mihaila Eminescu (1850—89) zawiera własne twórczości folklorystyczne, opracowaną i zebrałą przez poetę.

„WYPŁATANE KRZESŁA”

Pod takim tytułem ukazała się powieść słowackiego pisarza Dominika Tataraki, która natychmiast przetłumaczono i na czeski. Bohater powieści opowiada o swoim życiu. Jako student otrzymał stypendium i znalazł się w Paryżu, ale był to rok 1938, bohater poczuł się „człowiekiem bez ojczyzny”.

13.000 AKTORÓW I STATYSTÓW

Trwa praca nad radzieckim filmem „Wojna i pokój”. Epopeja tolstojowska zostanie zawarta w czterech seriach. W scenach bitew na polach Borodino wzięło udział 13 tys. aktorów i statystów. Filmowe Borodino reżyser Bondarczuk rozegrał w jednej z szerokiej dolin Dniepru.

RÓŻEWICZ I SATYRYCY

Ukazał się niedawno po rosyjsku wybór wierszy Tadeusza Różewicza. W Leningradzie zaś ukazała się jeszcze jedna antologia współczesnej satyry polskiej pod tytułem „Polski humor”, zawierająca nazwiska naszych 23 satyryków.

KARNAWAŁ 1886

Klowni z „towarzystwa”

Bywają rozmaite karnawałowe atrakcje, nie tylko tańcujące, prywatne czy publiczne wieczory. Łódź w karnawałowym sezonie 1886 roku dała temu wyraz w paru innego typu imprezach.

Oto na przykład wielka zabawa łyżwowa na rzecz „Towarzystwa Dobroczynności”, zorganizowana na stawie za browarem Anstądów (późniejszy park „Helenów”), która udala się znakomicie. Kilkaset osób już od godziny trzeciej po południu holendrowało w takt muzyki przy dźwiękach orkiestry wojskowej. Podziwiano pięknego walca, wieloosobowego kontredansa, a gdy o zmroku oświetlono staw lampą elektryczną i ogniami bengalskimi — zachwyt i podziw publiczności nie miały granic. Zorganizowano wspaniały karuzel, do

Największą jednak atrakcją karnawału 1886 roku był zainaugurowany przez koło łódzkich sportowców Cyrk Amatorski. Przedstawienie, zapowiadane hucznie przez prasę, odbyło się w lokalu prawdziwego, dającego w Łodzi występy prawie codziennie przez sezon zimowy, cyrku Schmidla.

„Karnawał tegoroczny — czyta-

wyrywa sobie gazetę z dn. 9 marca, w której czyta:

„Dziś, we wtorek, 9. III. 1886, w świetnie udekorowanym i rzeźbiście oświetlonym cyrku Schmidla odbędzie się Wielkie Karnawałowe Przedstawienie Amatorskie z współudziałem około 80 osób, panów i pań. Przedstawione będą: produkcje konne, gimnastyczne, atletyczne ze sztabami żelaza wagi 180 funtów i ciężarami 400-funtowymi, taniec na linie, czarnoksiężstwo i magia, humorystyczne intermezza, humorystyczna sztuka malowania na poczekaniu, tańce zbiorowe i pochody w kostiumach w stylu średniowiecznym. Orkiestra cyrkowa i fabryczna scheiblerowska”.

Z wielkiej chmury często — mały deszcz. Późniejsze relacje „Dziennika Łódzkiego” brzmią więcej niż umiarkowanie.

Przed wszystkim spędziano „olbrzymi” dochód z cyrkowego widowiska stopniał do coś około 1000 rs. na skutek wygórowanego „honorarium”, jakie za wypożyczenie sali, orkiestry, obsługi i urządzeń pobrała pani Schmidlowa, wdowa po niedawno nagłe zmarłym właścicielu cyrku. Sala cyrkowa ziała zimnem i publiczność,

niejszy atut tego przedstawienia — humor i dowcip.

Pisze „Dziennik Łódzki”:

„Humorystyka tej miary, jaką widzieliśmy, nie kwalifikuje się do teatru, skoro razita nawet w cyrku. Podziwialiśmy wprawdzie twardą skórę owego śpiewaka,



któremu zaaplikowano kilkadziesiąt kijów, a jeden z tych amatorów, popędzany batem dookoła areny, dowiódł, że ma zdrowe nogi... Takie jednak „intermezza” są wcale nie dowcipne; nazywa się to po prostu „hęca”, jakiej nawet klowni z profesji dziś już nie uprawiają. Humorystyka, jest świetną rzeczą, ale wymaga dowcipu i pewnej wytworności... Powiedmy sobie, że nie tylko już wytworności, ale zwykłego choćby umiarkowania. Tego umiarkowania zabrakło uidać i organizatorom i wykonawcom. Tłumaczymy to sobie dzisiaj tym, że i w jednej i drugiej grupie była przewaga Niemców”.

Z niechęcią podkreśla „Dziennik Łódzki”, że nie licząc się z publicznością, co najmniej w połowie polską, wszystko, a więc: objaśnienia, anonsowania, nawet i teksty afiszów — było w języku niemieckim.

I tak — największa i najkosztowniejsza impreza karnawałowa 1886 roku — spaliła na panewce.

HELENA DUNINÓWNA



my w „Dzienniku Łódzkim” z 1886 roku — pozwolił nam może oglądać woltyżerki, woltyżerów i klownów... z towarzystwa. Pisma tutejsze doniosły, że urodził się projekt dania w cyrku widowiska amatorskiego na cel dobroczynny. Do ról klownów pozyskano podobno znane osobistości z miasta”.

Zainteresowanie w mieście ogromne, podniecenie, istna gorączka, bilety są wprost licytowane.

W kąk poszły występy p. Piquett, klowna z warszawskiego cyrku, Salamońskiego i jego trojga nieletnich dzieci; nikogo nie interesuje sztuka i uroda pięknej woltyżerki, miss Józefiny, ani akrobacyjne popisy podziwianej dotąd trupy Nicol. Publiczność łódzka



która dotrwała do końca, tj. do pierwszej w nocy, wychodziła zmarnieją na koszt. Podobaly się produkcje gimnastyczne, tańce na łyżwach i mazur w sześć par, zawiodł jednak całkowicie najważ-

wyjaśnia Pasolini krytykowi francuskiego magazynu. A raczej nie tylko o życiu seksualnym. Pasolinemu chodzi przede wszystkim o sady swoich rodaków na temat własnego i cudzego życia seksualnego, o zdolność oceny pewnych problemów płci i o charakter tej oceny.

Ludzie młodzi i starzy, z różnych środowisk zostają poddani ankielowym niemal pytaniom: co sądzisz o prostytucji? czy zbrojenia seksualne są niebezpieczne społecznie? czy zdradziła swoją żonę, gdybyś ją zdradził? Kamera przez cały czas pilnie notuje reakcje rozmówców. One są właśnie najważniejsze, one są podstawą komentarzy Moravii i Musatięgo. W pierwotnym zamiśle Pasolini chciał zrobić film niemal dokumentalny, w którym kolejne ujęcia nawiązywałyby się wzajemnie, tworząc ciężar gatunkowy filmu. Potem zgromadzony materiał, zwłaszcza ta jego część, która notowała ludzkie reakcje, skłoniła go do wprowadzenia komentarza. Zadaniem tego ko-

mentarza jest usunięcie sprzed oczu widza otoczki pokrywającej właściwe sady i przekonania Włochów, otoczki wytworzonej przez wszechstronne działanie mieszczańskie moralności. Pasolini konstatuje, że mylą się włoscy socjologowie, którzy mówią o radykalnej zmianie poglądów moralnych swoich rodaków: włoski schemat postępowania moralnego to schemat o wielki spóźniony w stosunku do innych schematów europejskich. Film potwierdza wyraźnie prawdziwość przekonania Pasoliniego. To, co powszechnie uznano za skandaliczny eksces młodego reżysera, okazało się poważnym studium psychologiczno-socjologicznym. Mimo wyraźnych związków filmu z metodą twórczą „cinéma-verité” Pasolini twierdzi, że dzieło jego jest jednak czymś innym. Komentarze Moravii i Musatięgo wprowadzają element celowego uporządkowania zgromadzonego materiału, a uporządkowania tego nie ma, twierdzi Pasolini, w „cinéma-verité”.

MORALISTA PASOLINI

Nowy film Paolo Pasoliniego tworzy wokół siebie atmosferę skandalu, mimo, że nikt go jeszcze nie widział, a twórcą „Włóczykija” niechętnie przy muje reporterów. Ciekawym zdraździł tylko temat filmu i to wystarczyło, aby wywołać ogólnie podniecenie: Pasolini od roku pracuje nad tematem życia seksualnego we Włoszech. Do współpracy zaprosił znanego pisarza Alberta Moravie i słynnego we Włoszech psychiatrę, doktora Musati. Taśmy, które im przedstawił to pion rocznic, samodzielnej wyodróbki po całym kraju. Przed kamerą Pasoliniego pojawiają się żołnierze, robotnicy i wieśniacy, Rzymianie i Sycylijczycy i odpowiadają na stawiane im przez reżysera pytania. Wbrew ogólnym choć niejasnym mniemaniom, nie będzie to film o życiu seksualnym Włochów —

Napisz co myślisz

O KSIĄZKACH
WYDAWNICTWA
ŁÓDZKIEGO,
O REPERTUARZE
TEATROW,
ŁÓDZKICH
O „ODGŁOSACH”

a list Twojej wziętej udział w losowaniu nagród książkowych. Najciekawsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY”

„Najdalej wysunięta gałązka topoli“

Po raz wtóry czytałem „Plamę”, wydaną niespełna przed rokiem, tę fascynującą, niezwykłą i doskonałą powieść Stanisława Piętaka, także jego „Portrety i zapiski”, które ukazały się minionego lata, sięgając co pewien czas po wcześniejsze jego książki: „Lot dojrzałych dni”, „Młodość Jasia Kunefala”, „Dom rodzinny”, „Upragnione losy”, „Pośrodku żywiołów”. — Siedziałem, powiadam, otoczony książkami Piętaka, by napisać coś w rodzaju szkicu o najnowszym tomiku jego poezji, o „Zaklinaniach”.

Zrozumiałem, że „Zaklinania” to jego najlepszy tom wierszy. Najlepszy, to znaczy najbliższy temu, co mnie — czytelnika — wzrusza. Mówiąc bardziej szorstko: najbliższy moim poetyckim upodobaniom. Tak pomyślałem, konfrontując „Zaklinania” z dawniejszymi książkami wierszy Stanisława Piętaka. Chodzi o to, że poezja Piętaka nigdy nie potrafiła mnie na dłużej „porwać”, że byłem wobec niej — „rozlewnej” i emocjonalnie „wezbranej” — oschły. Może raczej: nieufny. Nie muszę chyba wyjaśniać, że nie chodzi mi o to, by wiersz był starannie „oszurowany” rymem, nawet fonetyczny rytm frazy nie wydaje mi się niezbędnym. Ale potrzeba mi w wierszu, który czytam, „ładu wew-ętrznego”, świadomości jakiejś „granicy”, którą poeta kładzie to tu, to tam, naprzeciw toczącym się zdaniom, potrzeba mi wreszcie owej „niewymienności” żadnej frazy lub słowa na inne: tego, co tak imponuje chociażby w „Ziemi jądowej” Eliota lub w „Cantos” Pounda, a czego — powtarzam — brak mi było zawsze w poezji Piętaka. Choć zawsze o jego wierszach wysoko trzymałem i szczerze mogłem powiedzieć, że niektóre ich fragmenty, liczne fragmenty, są wręcz znakomite. Ale właśnie fragmenty.

I oto przed paroma dniami, czytając „Zaklinania” wkroczyłem na terytorium liter, niepokojącej materii poetyckiej. Pomyślałem, że Piętak wszedł w jakiś nowy okres swej twórczości. Na karteczce, „na roboczo” zapisałem termin: dojrzałość.

Różnorodność elementów emocji, refleksji i formy, które w dotychczasowej twórczości Piętaka, prczając sobie, nadawały jej charakter obserwowanego brulionu poetyckiego — tu, w „Zaklinaniach” zostały wreszcie skojarzone, wzajem przystosowane w obręb organizmu każdego wiersza. Mimo, że tych różnorodnych elementów nie ubyło, a przybyło. I osiągnął to Piętak może dlatego, że w „Zaklinaniach” wyszedł poza krąg emocji, który — świadczą o tym wcześniejsze wiersze — już od dawna starał się przekroczyć, że podporządkował całą książkę i wszystkie akcydensy wierszy jednej naczelnej refleksji, dajmy jej miano: filozoficznej. W sposób najbardziej bezpośredni wyłożył ją chyba w wierszu „Plaża”.

Zawarta w nim quasi-filozoficzna refleksja jest, oczywiście, określonym sposobem widzenia rzeczy: manifestuje się poprzez już utrwalone, powiedzmy sobie: „ostateczne”, widzenie świata. Daje to wierszom walor intelektualnej i formalnej stabilności. Ale nie jest to „widzenie świata”, o jakim zwykło się mówić, że bywa ono przywilejem statecznej mądrości. Jest to widzenie pragnienia. Jednego pragnienia, przenikają-

cego całą książkę. I pragnienie to najlepiej wyowiada bohaterka powieści „Plama” w zdaniu: „Chciałam za wszelką cenę przyoblec się wreszcie w jakiś kształt, wyjść na powietrze, lecz i teraz mi się to nie udało”. Wydaje mi się, że o spełnienie tego właśnie pragnienia zaklina Piętak w każdym wierszu swego ostatnio wydanego tomiku. W „Zaklinaniu” kształtem poetyckiej osobowości jest poszukiwanie osobowości. Poszukiwanie tak zawzięte, że stapia ono w organiczną jedność: patos i intymność, metaforę i jednoznaczne zdanie, opis i dyskurs.

Powiedziałem: poszukiwanie poetyckiej osobowości. Może należałoby raczej powiedzieć: poszukiwanie poprzez wiersze osobowości własnej. Poszukiwanie za-ciekłe, ale nie chaotyczne: tropy idą w określonym kierunku — w głąb pamięci, w głąb tego, co było i tego, co jest. Poszukiwanie jest organizowaniem widzenia świata. Poprzez wiersz, więc jednocześnie formalnym organizowaniem wiersza. Forma wiersza jest tutaj formułowaniem refleksji o świecie. Dlatego też próby określenia konwencji poetyckiej „Zaklinani”, uważam za nierozsądne. Nowatorstwo? Z pewnością — tak. Tradycja — oczywiście również. Wzory? Można wymieni szereg, ale ani jeden nie będzie wyłączny lub dominujący. Najrozsądniejszej, chociaż brzmi to nieuczucie, trzeba by powiedzieć: to są wiersze Stanisława Piętaka. Jego najlepsze wiersze.

Poetyka tomu „Zaklinania” ma jeszcze jedną osobliwość: te wiersze są „odrębne” od autora, lub inaczej: pomiędzy nimi, a autorem istnieje dystans, bez względu na to, czy Piętak mówi w nich o sobie „per ja”, czy też „per on”, jak chociażby w oparciu o parabolę „Zaślubinach”. Maniera przy „poszukiwaniu samego siebie” naturalna, a dla wierszy drogocenna: to ona tworzy te „przenośną granicę”, która w każdym utworze strzeże wewnętrznego ładu, wytycza terytorium emocji i obrazów.

Wspomniałem już po-dwukrotnie „Plamę”. Rzeczywiście, w moim pojęciu, filiacje pomiędzy tomikiem „Zaklinania” a tamtą książką, mimo, iż jest ona powieścią — są nader wyraźne. Wszak „Plama” — to tylko inna, prozatorska wer-

sja tego samego problemu: sondaż własnej pamięci, poszukiwania rozproszonej wśród wspomnień i wyobrażeń osobowości. Oczywiście, nie miejsce tu, aby obszerniej mówić o tej niezwykłej powieści.

Tedy, czytałem właśnie „Plamę”, gdy poproszono mnie do telefonu. Dowiedziałem się, że Stanisław Piętak nie żyje. — Wczoraj rano? — powtórzyłem, by uwierzyć, choć już przecież wiedziałem.

— Tak, wczoraj rano... — Wróciłem do pokoju. Machinalnie zacząłem znów przeglądać Jego zgromadzone na stoliku książki, które podarował mi wówczas, gdy mieszkaliśmy jeszcze w tym samym domu, na tej samej klatce schodowej. Odczytywałem dydakcje, a raczej patrzy-

łem tylko na skreślone piosondu słowa i odległe daty. Potem przekreśliłem leżące obok książki arkusze z mym szkicem o „Zaklinaniach”. Otwarta „Plama” leżała na fotelu, tak, jak ją zostawiłem w chwili, gdy wezwa-no mnie do telefonu. Spojrzałem na nią i znów wzią-łem do ręki mały, biały tomik. Przeczytałem wiersz „Wierność” i na pustej kartce papieru przepisałem zdanie z jego zakończenia: „Najdalej wysunięta gałązka topoli”.

Po paru godzinach ockną-łem się i pod tym samotnym zdaniem, jakby pod tytułem, zacząłem przepisy-wać to, com był przekreślił. Przecież wiersze Stanisława Piętaka istnieją i będą ist-nieć.

MIROSLAW OSTOJA OCHOCKI



STANISŁAW PIĘTAK

Zaklinania

Znowu ożyły moje rzeczy dawne
i litują się nade mną lub mnie mrocznie wyszydają.
— Wybrałeś — mówią — samotność, lecz zatem na nas.
Kiedy zachorujesz z mudy czy z rozpacz,
zawsze na chwilę ukazemy ci dom twój przeszły
i ludzi, których kochałeś.
Będziesz ich mógł nawet dotknąć
przez mokną tkaninę powietrza.
Przyznaj — niewieleś więcej w życiu pragnął?
Miejsca masz teraz mało, ale starczy,
byś uklęknął lub upadł
i wolał, przeklinał, płakał.
Pióro ci zabraliśmy — ty przecież umiesz pisać
palcem na piasku lub jękiem przez sen.
Zresztą gdy gęstnieć będzie zmierzch
i obsuną się powoli ciemności,
możesz zgłoś wystukać twe słowa na skórze śmur.
Właśnie, jeszcze ktoś odpozna twój płacz i śmiech
na siódmym brzegu, siódmej gwiazdzie,
jeszcze je powtórzy?

Po zgonie STANISŁAWA PIĘTAKA

Pod wrażeniem nagłego odejścia Stanisława Piętaka nasuwają mi się wspomnienia z jego życia, a jeszcze więcej z twórczości, wspomnienia tak liczne, że można z nich złożyć całą księgę, a przecież nawet taki volumen nie rozwiązałby ostatecznej tajemnicy jego pożegnania się ze światem.

Przypominając niedawno początki „Okolic Poetów”, nazwał Stanisława Piętaka najbliższym sąsiadem autentyzmu. Ale nie było to polspolite sąsiedztwo. Coś znaczące więcej. Łączyła nas tradycyjna, trzydziści lat trwająca przyjaźń i współdziałanie — twórcze i organizacyjne. Byliśmy sąsiadami zmiędzy. Z tej samej pochodziliśmy ziemi, z Sandomierszczyzny, prawo- i lewobrzeżnej, przedzielonej Wisłą. Trzydzieści kilometrów dzielił opatowski Dzwonigród od Piętałowskiej rodzinnej Wielowsi. Tam, na prawym brzegu Wisły, w pobliżu puszczy sandomierskiej, rozciągały się obszary nieco orientalne, bogate w oryginalny, dotychczas mało poznany folklor, ziemia licznych poetów ludowych (wśród nich kilku bliźszych krewniaków Piętaka). Ciekawe związki historyczne działały na wyobraźnię twórców. Z jednej strony ślady osadnictwa tatarskiego, z drugiej — wpływy wyżu feudalnego. Warto wspomnieć, że Wielowieś była swego czasu przez pół roku niemal stoll-

ca państwa, goszcząc króla Zygmunta Starego wraz z królową Boną, uchodzących z Krakowa przed „dziewicą moru”.

Oto podglebie, z którego czerpały „korzenie rodzinnego domu”, osobliwego mitu twórczości poetyckiej i powieściowej Stanisława Piętaka. Nie-wątpliwa bliskość i pokrewieństwo z autentyzmem. Ale nie więcej. Piętak, wieczny poszukiwacz i rewelator, sta-le wychodził poza ramy określonych doktryn poetyckich, nie przyjął też kano-nów autentyzmu i szukał własnych rozwiązań.

Byłem miłośnikiem poezji Stanisława Piętaka. Entuzjastycznie recenzją witałem jego debiut, „Alfabet oczu” w 1934 r. Recenzowałem wszystkie następne jego tomiki — „Legenda dnia i nocy”, „Obłoki wiosenne”, „Dom rodzinny”, „Lot dojrzałych dni” i inne aż do zbioru „Pośrodku żywiołów” (1960). Podzielałem zdanie Zbigniewa Bieńkowskiego, że poezja Stanisława Piętaka była przez współczesność niedoceniona.

Bardzo zawiła drogą przebiegała twórczość powieściowa i nowelistyczna autora „Młodości Jasia Kunefala”. Po triumfalnym starcie nastąpił długotrwały okres zawiąknął i przelamywania oporów, nie-gate w oryginalny, dotych-czas mało poznany folklor, ziemia licznych poetów ludowych (wśród nich kilku bliźszych krewniaków Piętaka). Ciekawe związki historyczne działały na wyobraźnię twórców. Z jednej strony ślady osadnictwa tatarskiego, z drugiej — wpływy wyżu feudalnego. Warto wspomnieć, że Wielowieś była swego czasu przez pół roku niemal stoll-

— w poezji i prozie — stanął Stanisław Piętak na szczytach swojej „skaly tarpejskiej”.

STANISŁAW CZERNIK

Chłopski NADREALISTA

Tak nazwał Stanisława Piętaka w recenzji z jego książki „Młodość Jasia Kunefala” — Jarosław Iwaszkiewicz. Określenie to przylgnęło do autora, i nie bez racji. Obraz, wsi, utrwalaony na kartkach jego powieści i opowiadań, był inny od tego, jaki pozostawił nam w spadku dziewiętnasto- i dwudziestowieczni naturalści. Wiesz Stanisława Piętaka to wiesz odręalniona, sielankowa, jakby — bezdziewajowa. Nie widzimy w „Kunefale” walki, która obejmowała wiesz polską w tamtych latach. Tak, to prawda. Ale również prawdą jest, że „Młodość Jasia Kunefala” wyrosła z chęci podniesienia godności chłopca, ukazania jego wewnętrznej wrażliwości, przeciwstawienia obrazu wsi naturalistycznym tendencjom naszej literatury, gdzie chłop z reguły przedstawiany był nieledwie jako zwierzę ze swą biologiczną chciwością.

Mylła się więc Magdalena Samozwaniec, wymiłowując się na lamach „Wiadomości Literackich” z tego, że w utworach Piętaka wszystkie mówią do siebie „per pan” i używają subtelnych, literackich dowcipów. Nie zrozumiała awansował w ten sposób chłopca, chciał go wyrwać z prymitywu i wnieść na wyższy poziom życia.

Utwierdzam się o tym coraz bardziej właśnie teraz, gdy na jego dzieło można

spójrzeć jako na całość zamkniętą ostatecznie i nieodwołalną. W życiu Piętaka występowała całkowita zgodność między nim jako człowiekiem i jako pisarzem. Mogę coś o tym powiedzieć, gdyż znajomość nasza trwała wiele lat, a po wojnie — zanim Piętak przeniósł się do Warszawy — mieszkaliśmy w tej samej łódzkiej kamienicy i widywaliśmy się codziennie. Wrażenie, jakie wyniosłem z pierwszego z nim spotkania w maju 1938 roku, potwierdziło się potem w zupełności. Piętak był nieśmiały i jakby zakłopotany. Nie należał do tzw. natur towarzyskich, choć z pewnością nie zastępował na miano odułdka. Lubił dom, unikał sporów, starał się prowadzić systematyczny tryb życia, wychodził regularnie na spacer i regularnie, dzień w dzień, pisał. W miarę posuwania się w lata, odczuwał potrzebę samotności, znalazł jej smak i urok. Był jak jego wiersze i opowiadania: spokojny, delikatny, prawie — idylliczny. Aż dziwne, że ten chłop z pochodzenia tak niewiele miał w sobie chłopskiego w potocznym, tradycyjnym znaczeniu tego pojęcia.

Dziś wiemy, że ta jego kruchość fizyczna kryła w sobie utajoną chorobę, która po latach dała znać o sobie w sposób nieoczekiwany i tragiczny. Choć różniły nas poglądy na literaturę, rozumieliśmy się dobrze i byliśmy przyjaciółmi. Na Piętaka można było liczyć. Był przyjacielem. Takich przyjaciół jest coraz mniej na świecie.

JAN KOPROWSKI

Staszek

W czerwcu 1957 roku, znalazłszy się na statku na Wiśle pod Sandomierzem, od razu przypomniałem sobie, że gdzieś w pobliżu powinna być Wielowieś Stanisława Piętaka, od dawna dobrze mi znana z poematów, opowiadań i powieści pisarza.

Ktoś — zdaje się, że Wincenty Burek — ręką wskazał mi kierunek. Za pogodną, siewającą mgiełką miała znajdować się ta wieś. Wyobraziłem sobie domki i chaty, malwy, grusze i śliwy. Gdzieś tam pasły się zapewne i krowy.

Przeglądałem się ze szczególną sympatią przed chwilą jeszcze zwyczajnej oddali, rozedrganej słonecznym światłem: więc to tam skrywała się okolica, która ukształtowała i żywiła wyobraźnię, była inspiracją Piętaka!

Napisał wiele książek prozą, dzieją się w nich różne

sprawy, częstokroć dramatyczne i jakże współczesne, różnymi głosami mówią kobiety i mężczyźni, chłopcy i dziewczęta. Ten rozległy fresk nie we wszystkich miejscach odznacza się celną kompozycją, nie wszystkie jego kontury są wyraziste, nie wszystkie postacie zostały należycie wy-dobyte, a głosy różnicowane — mimo to tamte brzegi Wisły, Wielowieś, Tarnobrzeg weszły do literatury, zyskały bogatą sagę rodu Kunefalów.

Wcześniej niż z prozą zapoznałem się z wierszami „Alfabet oczu” ukazał się w 1935 roku i zawierał liryczne poematy. Rozlewne, pozorne ledwie podługie rygorom, niosące rozhuśtany żywioł poetycki, mieniący się choć i niekiedy bardzo mroczny.

Stanisław Piętak napisał wiele wierszy. Zachowując wierność swojej materii lirycznej, stawał się coraz więcej. Napisał wiele wierszy? Nie, wybuchł nimi, wzruszenie i patos eksplodowało, wszystko uwznioślał, pamiętnik liryczno-epicki za każdym razem stawał się u-

ogólnieniem elementarnych, najistotniejszych spraw ludzkich.

Silę poetycką, z jaką odwoływał się do rodzinnych stron, można porównać do sily, właściwej Jesieninowi, aczkolwiek o żadnych pokrewieństwach formalnych nie da się tu mówić.

Na wieczorach autorskich recytował z pamięci. Nieco cygański brunet w welwetowej kurcie, mężczyzna o smagłej twarzy, dużych piwnych oczach i grubych wargach, pochylony do przodu, robił wrażenie urzeczono-go, nie bardzo widzącego w takich momentach swoich słuchaczy. Był urzeczony!

Należał do cyganerii artystycznej. Gdy jednak ożenił się — dobrze pamiętam ślub w 1946 roku w drewnianym, prawie wiejskim kościółku przed julianowskim parkiem — dość przedko przeobraził się w domatora, męża i ojca, zajętego rodziną oraz intensywną pracą pisarską, chociaż niczego nie uprawiał systematycznie, z dnia na dzień. Wbrew świadectwu wielkiej ilości pozycji literackich,

miewał męczące okresy jalo-wości.

Miał wielki szacunek dla literatury polskiej, dla samorodnej poezji chiopskiej, znał dobrze naszą dziesiętnasto-wieczną beletrystykę, pamiętał nazwiska obce nawet za-wodowym historykom literatury.

Bywał organizatorem i prezesem, pracował w tygodniku „Wies” w dwutyg. „Kronika” i w „Tygodniku kulturalnym”. W okresie, gdy i na terenie łódzkiego oddziału literatów zdarzały się małe „procesy czarownic” — zachowywał właściwy umiar i dystans do spraw, nie ulegał fro-dowskiej histerii. Za bar-do był lojalnym człowiekiem i za wiele miał do powiedzenia jako pisarz, by się oddawać podejrzaną gorliwość.

W 1963 roku ukazały się „Portrety i zapiski”, szczerzy pamiętnik poety, o poezji naj-ważniejszej wobec samego siebie. 27 stycznia 1964 roku wyszedł z warszawskiego mieszkania przy ul. Święto-czowskiej na Lesznie, żeby nie wrócił.

JAN HUSZCZA

Coraż mniejszą popularnością na Zachodzie cieszą się filmy amerykańskie. Repertuar kin paryskich zawiera przede wszystkim pozycje stare, sprzed dziesięciu, piętnastu lat, a najczęściej są oglądane uznane od dawna filmy Braci Marx i Fritza Langa.

Miesięcznik „Cahiers du cinéma” opublikował numer w całości poświęcony amerykańskiej produkcji filmowej. Oto wypowiedzi reżyserów francuskich:

Jean Luc Godard: „Kiedyś lubiliśmy filmy amerykańskie, ale było to wtedy, gdy na sto filmów osiemdziesiąt było filmami dobrymi. Dziś wśród stu — osiemdziesiąt to filmy przeciętne”.

Francois Truffant: „To, co było do zaakceptowania w ich filmach, to przede wszystkim dobra robota. Dziś zastąpiła ją inteligencja, a inteligencja nie ma wielkiej przyszłości w amerykańskim filmie”.

Francois potępił się tylko, że ilość produkowanych filmów spada w Ameryce z roku na rok. Podczas, gdy rok 1932 przyniósł 507 nowych pozycji, rok 1962 — tylko 135.



Miesięcznik „Temps Moderna” drukował w ubiegłym roku obszerny wybór prozy Sartre’a — „Les mois” („Słowa”). Obecnie „Słowa” doczekały się wydania książkowego. Jest to autobiografia znanego pisarza i filozofa. Sartre prezentuje w niej historię swego życia umysłowego. Autobiografia została doprowadzona do 40-tego roku życia. Autor nie wypowiedział się, czy zechce prowadzić ją dalej.

POOLONICA

HISTORIA BLISKA I ODLEGLA

W miesięczniku francuskim „Historama” (nr 149, luty 1964) znajdujemy dwa artykuły poświęcone sprawom polskim. Charles Billy pisze o upadku Wrocławia i zdobyciu go przez wojska radzieckie, a następnie przejściu we władanie polskie. Drugi artykuł pt. „Une heroine Franco-Polonaise Antoninette Lix”, pióra Pierre Marciel, podaje bardzo ciekawą historię, którą referujemy w dużym skrócie. Mając 20 lat, Antonina Lix, znalazła się jako guwernantka w Polsce w majątku hr. Lubieńskiego w Syczcu. Jest rok 1863. Antonina uczyła czworo dzieci hrabiny Lubieńskiej języka francuskiego. Hr. Lubieński uciekł ze swego majątku w obawie przed Murawiewem, Hrabina, zostawiając samą, oddała się pod opiekę Antoniny, która stała się administratorką majątku, opiekowała się rannymi powstającymi itp. Jednej nocy zaalarmowano majątek, że oddziały powstańcze Bończy już zagroziły. Wówczas Antonina przebrała się w strój męski, bierze pistolety, dosiada konia i jedzie do miejscowości lesistoj Góry. Omijając patrol rosyjskie przekazuje wiadomość Bończy w chwili, gdy obóz został zaatakowany. Jej czyn zagrzewała powstańców do boju. Antonina została mianowana porucznikiem, okrywa się chwałą wojową. W czasie jednej z potyczek zostaje ranna i idzie do niewoli. Po wkazaniu generałowi Czengeremu paszportu, francuskiego zostaje odstawiona do granicy prusko-rosyjskiej. Jest to pasjonująca historia, która mo-

głaży posłużyć za temat do powieści historycznej. Tym więcej, że jest zupełnie nieznaną.

POLACY W ANTOLOGII FRANCUSKIEJ

Nakładem „Presses du Temps Présent” ukazała się w Paryżu antologia wierszy martyrologicznych w przekładach Irene Kanter. Spośród autorów polskich zostali uwzględnieni następujący poeci: Władysław Broniewski, Mieczysław Jastrun, Tadeusz Kubiak, Stanisław Jerzy Lec, Tadeusz Różewicz i Antoni Słonimski.

LEC W CZESKIM MIESIĘCZNIKU

Znakomicie redagowany i pięknie pod względem graficznym wydawany miesięcznik „Plamen” przynosi w numerze styczniowym br. serię „myśli nieuczestnych” Stanisława Jerzego Leca. Epigramaty polskiego autora, znane miłośnikom, ukazały się w przekładzie Olgi Neversilovej.

EUROPA DZISIEJSZA

Hermann Kesten, prozaik i eseista, autor tłumaczonej na język polski książki o Koperniku i „Guerniki”, wydał w Kinder-Verlag, w Monachium pokazanych rozmia- rów antologię pt. „Europa heute”. W antologii tej, zawierającej wiersze i prozę, znajduje się kilka tekstów pisarzy polskich, m. in. Leca, Słonimskiego i Józefa Wittlina.

NOWY FILM POLAŃSKIEGO

Jak donosi „Die Welt” (25

stycznia 1964 r.), Roman Polański reżyser cieszący się powodzeniem na Zachodzie „Noża w wodzie”, pracuje w tej chwili nad scenariuszem swojego pierwszego filmu w wersji francuskiej pt. „Cherchez la Femme”. Film ten winien być zrealizowany w Paryżu na wiosnę tego roku.

JAN KOPROWSKI

ZYGMUNT BARTKIEWICZ-AUTOR NIEZNANY

Bezpośrednim bodźcem do napisania niniejszego felietonu stał się odczyt prof. Romana Kaczmarska w księgarni „Pegaz”, a także 40 rocznica śmierci autora „Złego miasta”, przypadająca w roku bieżącym. Mimo, iż prof. Kaczmarek zgromadził ogromną ilość materiałów i dokumentów, dotyczących życia i twórczości Zygmunta Bartkiewicza, nie zdołał stwierdzić wielu faktów, jak na przykład: czy omawiany przezeń pisarz chodził do gimnazjum w Łodzi czy w Piotrkowie? Nie dziwiłbym się temu, gdyby chodziło o autora żyjącego przed wiekami. Ale Zygmunta Bartkiewicza, zmarłego 10 czerwca 1944 roku w Brwinowie, żył w naszym wieku, są jeszcze ludzie, którzy znali go osobiście i o to stajemy wobec niego w jego biografii, których nie umiemy wypełnić. We Francji taka rzecz jest nie do pomyślenia. Francuzi mają zrozumienie dla spraw, do których wielu naszych historyków literatury odnosi się jeśli nie z pogardą, to z niezrozumieniem. Jaka szkoda, że mieliśmy tylko jednego Boya-Zeleńskiego. Mamy nadmiar komentarzy, natomiast niedostatek w zakresie obfitej i źródłowej informacji. A czymże winna zajmować się historia literatury, jeśli nie gromadzeniem faktów, faktów i jeszcze raz faktów!

Zygmunta Bartkiewicza ma swoje miejsce w literaturze polskiej, choć zamiłki wczelnie i przez ostatnie dwadzieścia lat swojego życia prawie wcale nie pisał. I tego właśnie autora nie uwzględnia wydany w roku ubiegłym „Słownik współczesnych pisarzy polskich”. Nie wspomina ani słowem o Bartkiewiczu w swojej książce o literaturze międzywojennej — Ryszard Matyszkowski. A sam znakomity Julian Krzyżanowski w niemieckim znakomitym dziele „Neoromanizm polski 1890-1918” podał niewłaściwą datę urodzin autora „Pisłch dusz”, nie mówiąc już o tym, że ilość zebranych przez niego informacji jest wyjątkowo skąpa.

Zygmunta Bartkiewicza interesuje mnie nie od dziś. Jego „Złe miasto”, które na wiele lat przylgnęło do Łodzi do tego stopnia, że tytuł książki stał się zawołaniem obywateli, nie może równać się z „Ziemią obiecana” Reymonta, ani nawet z „Bawelnią” Kosiałowicza. A jednak ono było symbolem dawnej Łodzi, a i dziś, choć zapomniano Bartkiewicza, nie zapomniano owego tytułu, ewokującego przeszłość z przełomu stuleci. Zresztą Bartkiewicza był nie tylko pisarzem, był malarzem i rysownikiem, a przez kilka lat prowadził przy ulicy Piotrkowskiej tzw. salon artystyczny, gdzie gromadzone dzieła sztuki i schodzone się na rozmowy i dyskusje. Brylowała w jego domu, zresztą krótko, Mieczysława Cwiklińska — pierwsza jego żona, a kiedy rozwiodł się z nią, mieszkał jej zajęła malarka Eugenia Glanc, która przeżyła pisarza i do dziś mieszka w Brwinowie pod Warszawą.

Jest pewien epizod w życiu Bartkiewicza, który powinien wejść do przyszłego Płtawu łódzkiego, jeśli taki ktoś kiedyś napisze. W roku 1907 Towarzystwo Akcyjne „S. Orgelbrand i Synowie” wydało zbiór nowel Bartkiewicza pt. „Słabe serce”. Wkrótce potem warszawski komitet spraw prasowych wytoczył proces autorowi nowel — Zygmunta Bartkiewicza i wydawcy Janowi Skiwskiemu. Sprawy prowadzili: przewodniczący Fabryczusz i sędziowie Ellenbogen i Kniatlew, zaś oskarżenie popierał podprokurator Izby Sądowej Bienkiewicz, A-awokaci Pępolowski i Rundo bronili oskarżonych tzn. Bartkiewicza i Skiwskiego. Akt oskarżenia zarzucał pisarzowi, że obydwoje nowelę zbioru „Mateczyna dola” i „63” wy-mierzone są przeciwko Rosji-pierwsza ma dowodzić szko-

dliwego wpływu szkoły rosyjskiej na dzieło polskie, druga — przedstawiając w niekorzystnym świetle oficera rosyjskiego, Zwieriewa — przyczytnia się do szerezenia nienawisci. Zygmunta Bartkiewicza odparł zarzuty, dowodząc, że obydwa utwory były drukowane wcześniej w pismach, po uprzedniej zgodzie ze strony cenzury, mianowicie „Mateczyna dola” w dzienniku łódzkim „Rozwój” a „63” w petersburskim „Kraju”. Natomiast wydawca, Jan Skiwski, oświadczył na rozprawie sądowej, że utwór ten przed wydrukowaniem nie czytał, miał bowiem pełne zaufanie do ich autora. Trzeba tu jednak, gwałtownie dodać, że obydwa pisma drukowały nowelę Bartkiewicza z pewnymi opuszczeniami, które później weszły do wydania książkowego i one głównie stanowiły o skierowaniu sprawy na drogę sądową.

Mecenas Pępolowski wygłosił wspaniałą mowę obrończą, której nie zrozumiałem, a który nie możemy przytoczyć. Jest bardzo długa. Najpierw wdał się on w analizę treści inkryminowanych utworów i stwierdził, że akt oskarżenia osnuty został na rozumowaniu cenzora, nie zaś na faktycznej zawadzie opowiadania. Co się tyczy oficera Zwieriewa — kontynuował swój wywód Pępolowski — nie należy sprawy jego honoru utożsamiać z honorem armii rosyjskiej. Są to zresztą fakty zgodne z rzeczą wstępną historyczną i jeśli już można mieć do kogoś pretensję, to raczej do historii, a nie do autora. Mowę swoją adwokat zakończył słowami:



„Panowie sędziowie! Nie trwóżcie się o to, że nowelę Bartkiewicza nas zdemoralizują, gdyż to, co on nam opowie, dzieł, znane nam jest z historii, której nikt nie zmusi do milczenia.” Ponieważ obrońca wygłosił Skiwskiego sąd uwolnił, ale Bartkiewicza skazał jednak na 10 dni aresztu. Nakazano również zniszczyć zbiór inkryminowanych nowel.

Zygmunta Bartkiewicza, urodzonego w r. 1867 w Pablanicach w rodzinie lekarza, który ry-chło przeniósł się do Łodzi, związany był z miastem włocławskim do r. 1911. Po ożenieniu się z Eugenią Glanc i nabywaniu małej posiadłości w Brwinowie, porzucił miasto, z którym tak wiele łączyło go do tej pory. Cały ten okres łódzki Bartkiewicza jest nieprzebadany i kryje w sobie z pewnością niejedną ciekawą szereg. Również twórczość tego wytrawnego nowelisty nie została należycie przez historię literatury zanalizowana i oceniona. Nie wiadomo też, czy jedyny jego dramat „Stare gniazda, nowe piaki” był kiedykolwiek wystawiony na scenie.

Tak więc o pisarzu, który odszedł od nas tak stosunkowo niedawno, wiemy zastraszająco mało. W fakcie tym kryje się cały niedostatek naszej historii literatury i całej jej tragedia. Punktum.

str. 11



INTERWENCJE I MITY

„Interwencje i mity”, taki tytuł nosi artykuł Wandy Falkowskiej, otwierający ostatni numer „Prawa i Życia”.

„Co do mnie — pisze Falkowska — im dłużej pracuję w prasie, im więcej trafia do mnie bolesnych ludzkich spraw, tym częściej zadaje sobie pytanie czy rzeczywiste zatłwienie interwencji powinno należeć do zadań dziennikarza? Czy skutki naszej działalności interwencyjnej są pozytywne, jeśli oderwać się od konkretnych pozytywnie zatłwionych przypadków (bo takie ma przecież na swoim koncie każdy z nas) i spojrzeć na nią szerzej z politycznego i społecznego punktu widzenia? Otóż wydaje mi się, że nie”.

Artykuł godny jest uwagi i przemyślenia. Falkowska stawia z pewnością ważki problem: czy dziennikarz powinien interweniować, gdy czytelnik zwraca się do gazety z prośbą o pomoc? Sprawa form i skuteczności dziennikarskich interwencji na pewno warta jest dyskusji. Ale stawiłoby tylko dziennikarza, twierdzi autorka, nie powinien zajmować się interwencjami. Nie powinien, ponieważ istnieje aparat sądowy instancje: one są do tego powołane. Z takim postawieniem sprawy trudno się zgodzić. Cóż z tego bowiem, spytajmy, że istnieje aparat kontroli? Cóż z tego, że istnieją instancje, zajmujące się skargami i zażaleniami obywateli? Istnieją i powinny istnieć. Ale istnieją też sprawy, którymi aparat kontroli nie może i nie będzie się zajmować. Istnieją sprawy, które uważa tego aparatu mogą się wyminąć. Któż taki sprawami — a jest ich wiele — ma się zajmować, jeśli nie dziennikarz? Falkowska sądzi jednak inaczej.

„Niezmierznie ważnym — pisze — zaszczytnym zadaniem prasy jest pełnienie funkcji kontroli społecznej nad pracą administracji, instytucji gospodarczych, czy pracy naszych sądów. Nie znaczy to jednak wcale, że rzeczą dziennikarza jest rozstrzygać i wypowiadać się na temat, czy słusznie Pipszyckiemu odmówiono przydziału dodatkowej powierzchni ni w kwaterek, kto ukradł skrzypce w domu kultury, bądź czy prokurator słusznie czy nie słusznie aresztował Niewiadomskiego. Na pewno jednak dziennikarz może i powinien zająć się zagadnieniem polityki kryminalnej, pewnymi zasadami pracy kwaterek, czy też sposobami zabezpieczenia mienia społecznego. Przykłady z życia, konkretne przypadki okrasza tego typu artykuły, dodadzą im rumieńców autentyczności, nie będą jednak stanowiły interwencji w konkretnej sprawie. Interwencje indywidualne w instytucjach naprawdę czas poświęcić ich władzom nadzernym. Należą one w końcu do zwykłego toku urzędowania”.

O UCZESTNICTWIE

„Życie Literackie” przynosi piękny tekst Artura Międzyrzeckiego, zatytułowany „O uczestnictwie”. Relacjonował już na tym miejscu także w „Życiu Literackim” wydrukowa- ny tekst Andrzeja Kijowskiego, „Była okupacja”, będący staro- nową postawą pokolenia, które dojrzało w latach ostatniej wojny. Pokolenia nieufnego wobec sztuki. Pokolenia, któremu odebrana została wiara w ciągłość procesów kulturowych. Artur Międzyrzecki w latach wojny był dwudziestoletnim podchorążym artylerii. A potem — przez lata — był poetą pokolenia. Ale autor „Nocy darowanej” proponuje inną niż Kijowski diagnozę. Wie bowiem, że „artyściżna aktualność zna- czy tak niewiele bez historycznego zaplecza”. I proponuje inne, niż Kijowski, podziały.

„Ta groźna wojna nigdy nie stanie się czytanka i nie musi tłumaczyć powodów tego stanu rzeczy. Pisarska cnota nie jest działają malowniczo pogodząca, lecz odwaga cywilna. Nie zna ona, jak wiadomo, podziałów pokoleniowych i niewiele ma z nimi wspólnego”.

Oto co się liczy. Historyczne zaplecze. Ciągłość i jednorodność procesu kulturowego. I w kontekście tego zaplecza od- waga cywilna. Będąca synonimem odwagi artystycznej. A więc synonimem pojęcia „sztuki nowej”.

Boiteau

**fraszki
jana Czarnego**

DLUGI

Całe życie spłaca się długi
za różne, drobne usługi.

REMONT

Wolności przyczyną:
remont gilotyny.

SOMERSET MAUGHAM UKOŃCZYŁ 90 LAT

W styczniu br. Somerset Maugham, mieszkający stale na francuskiej Riwierze, ukończył 90 lat życia. Anglik, urodzony w Paryżu 25 stycznia 1874 roku, studiował Maugham w Heidelbergu, a zjeździł z pół świata. Jego nowele, powieści i sztuki teatralne o bardzo nierównej wartości, doczekały się licznych przekładów na wiele języków i zapewniły pisarzowi popularność i pieniądze. Tłumaczone były również na język polski zarówno przed wojną, jak i po wojnie. Grand Old Man, jak go nazywają, dbał zawsze o to, by rzeczy przez niego pisane, trafiły do czytelników, były komunikatywne i przystępne. Do najlepszych jego utworów zalicza krytyka powieści satyryczną „Cakes and Ale” i opowiadanie „Rain”, na podstawie którego zrealizowano w swoim czasie głośny film. Z niewydanej w języku polskim książki „A Writers Notebook” wyjmujemy kilka aforyzmów i myśli Somerseta Maughama:

„Młodość jest jak dziecko, urodzone w nocy, które widzi po raz pierwszy wschód słońca i myśli, że wczoraj nigdy n.e istniało.

Tolerancja jest jedynie innym określeniem obojętności.

Gdy człowiek się starzeje, zmniejsza się ilość przyjemności, jakie ma w życiu, ale cieszy się wówczas bardziej tymi, które mu jeszcze pozostały.

Wszystkie metody są dobre, jeśli tylko pisarz ma talent.

Pisarz winien być zarazem zabawny i poważny.”

JK.

Flirt

Czytelnikiem

Pokłosie ostatniego „Flirtu” przyniosło dwie sprawy. Pierwsza dotyczy numeru „piotr-kowskiego”. Czytelnik podpisany inicjałami F. K. ustosunkowuje się do artykułów zamieszczonych w tym numerze. F. K. jest zdania, że w różny sposób można przedstawić problematykę wybranego miasta. Jeśli idzie o Piotrków, to wydaje się, że temat wart jest tego, aby do niego jeszcze powrócić. Natomiast niepokój F. K. budzi inna kwestia: czy „Odgłosy” mają zamiar (jak wynika ze wstępnej zapowiedzi) omawiać co pewien czas kolejno problematykę poszczególnych miast i powiatów województwa. „Jeśli tak — pisze F. K. — to warto się zastanowić, czy nie lepiej by było, gdyby redakcja przyjęła tutaj inny klucz. A jaki? Klucz tematyczny. Nie poszczególne miasta miałyby być tematami („hasłami”), a wybrana problematyka. Wiadomo, że Belchatów to nie tylko Belchatów, ale w jakiejś mierze i Łęczyca, i wszystkie te mniejsze osiedla i miasteczka, które zmieniają się niemal na oczach pod wpływem inwestycji przemysłowych. A jeśli idzie o wieś, to tematyka sama się naprzysięże: przemiany gospodarcze, jaka jest sytuacja młodego pokolenia rolników awans społeczny młodzieży chłopskiej, spojrzenie na zawód rolnika w strukturze społeczno-towarzystwej wsi, sytuacja dziecka włojskiego itp.



Fot. W. Parys

Jasna jest rzecz — kończy F. K. — że te zagadnienia należy omawiać na konkretnych przykładach. Nie sugeruje więc ucieczki od terenu, przeciwnie, jak najściślej związane z terenem. Chodzi mi tylko o to, aby sprawy poruszane w piśmie obchodziły nie tylko szczupłą grupę czytelników „z Zapiecka”, ale miały oddźwięk ogólnopolski.

Inną sprawę porusza p. W. Stachlewski z Łodzi. „Moje propozycje — pisze p. Stachlewski — dotyczą głównie formy zewnętrznej i strony ilustracyjnej, które to w naszym stopniu wpływają na pożytność pisma... Czym dla gazety jest ilustracja, wie każdy czytelnik... Nikt nie jest w stanie oddać piórem tego, co potrafi dokonać fotografia.

Dlatego jeżeli już mam głos, to zczyłbym sobie nadania jak najlepszej formy zewnętrznej i ilustracyjnej „Odgłosom”. Poza to uwaga p. W. Stachlewski krytykuje te reportaże zagraniczne, które w sposób niepełny pokazują życie w innych krajach. Propozycje wysunięte w cytowanych listach są na pewno warte zastanowienia.

PS. Nagrodę książkową za „korespondencję tygodnia” otrzymuje p. F. K. (prosimy o podanie adresu). Przy okazji proszę: autorem zdjęcia w numerze 5 wykorzystanym w artykule J. Babińskiego „Pajaki i ludzie” jest p. W. Stachlewski. Przepraszamy za nieumieszczenie podpisu i wrysowanie winietki w zdjęcie.

ŹRÓDŁA I DROGI JAZZU

pisze A. Królikowski

Drukowany w poprzednich „Odgłosach” schemat pt. „Elementy i rozwój jazzu” jest podstawą cyklu, w którym spróbujemy sobie odpowiedzieć na pytanie: co to jest jazz?

Każdy odcinek traktować będzie o pewnym okresie rozwoju jazzu, okresie, który znajdziemy na schemacie.

II — Prehistoria jazzu

Jazz rozpoczął się od śpiewu. Wyrósł z ludowego śpiewu murzyńskiego kulturowanego na południu Stanów Zjednoczonych w czasach, gdy instrument muzyczny był przedmiotem trudno osiagalnym i praktycznie jako jedyny środek wyraził muzyczne pozostawał głos. Pięści o pracy, pieśni o trudzie, zabawie, radości, smutkach i nadziejach roznosili wędrowni handlarze, śpiewali drwale przy pracy, zbierawce bawełny i wierz, zapelniający drewniane kościółki. Dźwięki pieśni płynęły nad krajem usładowali później naśladować i przetwarzać murzyński muzykanci, ćwiczący na instrumentach pożyczonych od oddziałów wojskowych w bitewnych opalach Wojny Domowej z 1860 r. Rozpoczęło się eksperymentowanie i improwizacja samouków usługujących niejako „przedłużać i spotęgować” ludzki głos trąbką czy pużonem. Tradycja improwizacji stała się jedną z podstawowych cech jazzu, cech, jakie w niektórych definicjach tej muzyki urastają później do miary podstawowej zasady. Nieznajomość europejskich zasad muzycznych nie jest bynajmniej przeszkodą w tworzeniu nowej muzyki, ba — okazuje się zaletą, dzięki której murzyński muzykanci nieskrepowani tradycyjnymi wzorcami, wynajdują dziesięciostopniową skalę tworzą to, co nazywamy dzisiaj „blue-note”; mieści się to co prawda w przyjętych stopniach gamy europejskiej, lecz wywodzi się z Afryki, tak chętnie używanej w muzyce czterotonowej. Również z Afryki pochodzą stosowane wówczas rytmy nieskrepowane akademickimi regułami schematów ustalonych jednostek metrycznych, czwornonierne rozmieszczone kresek taktowych. Kładzenie akcentu na zwykle słabej drugiej i trzeciej części taktu, zwane synkopowaniem, uderzanie werbli, czyni, kotłów tak, tak niegdyś bebniono, w afrykańskie tam-tamy, nadają muzyce rozklosowany i taneczny charakter. W muzyce tej wybijają się wpływy afrykańskie, ale spotyka się także i inne źródła miesające się z sobą w Stanach pełnych emigrantów z wszystkich krajów Europy. Jazz zagarnia i przetwarza angielskie hymny religijne, niemieckie polki, włoskie arie, francuskie kadryle, czy irlandzkie ludowe ballady. Zaczyna powstawać muzyka, o której Leopold Stokowski mówi, że jest ona najbardziej zrozumiałym zjawiskiem całej historii muzyki światowej.



MALARSTWO KUBAŃSKIE

Trochę daleko, bo aż na ul. Worecilla 21 w Łódzkim Ośrodku Sportu, Turystyki i Wypoczynku zlokalizowano tę niewielką wystawę. Szukacie dalekiego kraju reprezentują na niej Raul Millan i Rene Portocarrero. Choć obaj są mniej więcej w jednym wieku (Millan ma lat pięćdziesiąt, a Portocarrero pięćdziesiąt dwa) to Portocarrero jest mistrzem i nauczycielem Millana, który malować zaczął przed kilkunastu laty i bez specjalnego, akademickiego przygotowania. Nie mniej Millan dziś ma za sobą wiele wystaw w Ameryce i Europie, srebrny medal na Biennale w San Paolo i zachował pełną odrębność stylu, nie naśladowując niewolniczo mistrza.

Rene Portocarrero natomiast z malarstwem zetknął się przed 40 laty, kiedy jako 12-letni chłopiec rozpoczął naukę w Akademii w Villate. Później próbował sił chyba we wszystkich dziedzinach plastyki — był ceramikiem, ilustratorem książek, scenografem... Ma za sobą dzieła wystaw na obu półkuliach.

Na wystawie zorganizowanej przez BWA przy współpracy am basady PRL w Hawanie i przy pomocy Ministerstwa Kultury i Sztuki eksponowano prawie 60 prac obu artystów. Naszym czytelnikom radzimy obejrzeć tę interesującą ekspozycję.

J. W.



bestsellery tygodnia

FILM

BALTYK, „Pechowiec na prerii” (3 dni) 7 616 widzów
POLONIA, „Gdzie jest generał” . . . 7 735 "

TEATR

NOWY, „Maria Stuart”, Słowackiego (4 spektakle) . . . 2 700 "
„Most”, Szaniawskiego (1 spektakl) . . . 400 "
JARACZA, „W pustyni i w puszczy”, wg Sienkiewicza, (2 spektakle) . . . 1 356 "
„O krasnoludkach i sierotce Marysi”, Konopnickiej, (2 spektakle) . . . 957 "
POWSZECHNY, „Jaśnie Pan Nikt”, Lope de Vega (2 spektakle) . . . 1 080 "
„Przygoda z Waterlandem”, Kruczkowskiego, (4 spektakle) . . . 2 600 "
OPERA, „Verbum Nobile”, Moniuszki, (1 spektakl) . . . 707 "
„Bal maskowy”, Verdi, (1 spektakl) . . . 470 "
OPERETKA, „Sensacje w Londynie”, Kawana, (6 spektakli) . . . 3 800 "

warto obejrzeć

TYDZIEŃ W KINIE

W najbliższym okresie zapowiada się seria ciekawych filmów. Od razu, z góry trzeba zastrzec, że każdy z nich może być interesujący z innego powodu. Na wszystkie można pójść do kina; czas przeznaczony na film nie będzie stracony,

ale jednak trzeba sobie zdawać sprawę z różnic rangi artystycznej. Zaczniemy od „Pechowca na prerii”. Jest to film grupy B może nawet C, ma jednak swoje walory: zresztą, zawiązana intryga komediowa, niezłe aktorstwo i dużo sztafetu westerownego — galopady, pościgi, strzelanina i tak dalej i dalej... Ciekawy jest sam pomysł filmu — wysłanie niefortunnego agenta ubezpieczeniowego w sam gąszcz bezprawia, do jakich lwa — do najsłynniejszego bandyty Jesse Jamesa. Nalwność, głupota i bufonada, trochę sprytu i szczęścia — i oto następuje apoteoza, naj-

pięrsz szlachetnego Dzikiego Za chodu, a potem znakomitych cnót mieszczanskich. Szkoda, że film jest zdegradowany do tak niskiej kategorii przez kilka bardzo niewybrednych kawałów, i przez niektóre wręcz cyrkowe błazeństwa Boba Hope, tytułowego bohatera. „Licząc na wasze grzechy” to polski film sensacyjny, zarazem satyryczny i trochę obyczajowy. Wyrażnie daje się tu odczuć nadmiar pomysłów w sensie tematycznym oraz pewne niedomaganie w wykorzystaniu i rozegraniu tych pomysłów. Trochę wydziwiona rzecz czystością traktowana jest z przymrużeniem oka. Największą

wartością tego filmu jest dialog — i wykonawca: oryginalny, za skakujący, zabawny i bardzo sympatyczny Kociniak. Przypomina on trochę w tym filmie Donalda O'Connora. To na pewno aktor tej samej klasy. Wysokiej klasy komedie bulwarowa stanowi niemiecko-francuski film „Julio, jestes czarujaca”. Wykorzystano tu wiele starych motywów, pikantne sytuacje, a przede wszystkim kopalnie możliwości; jaka stanowi teatr i aktor, skomplikowane intrygi, które z niezawodną zručnością prowadzi Julia — gwiazda teatru w pełni rozkwitu urody i... nieszczęśliwie, wzbudzą u widza jeden za

drugim wybuchy śmiechu. Nie jest to arcydzieło — ale zupełnie dobry, kulturalny film. Twórcy jego umieją posługiwać się filmowymi środkami wyrazu — na poziomie wysokiej klasy realizatorów. I wreszcie twórca godny zainteresowania nie tylko osób spragnionych rozrywki, każdy z rzeczywiście miłośników filmu powinien obejrzeć „Kaprala w matni” — najnowszy film wielkiego „starszego dziecka” filmu francuskiego, wiecznie młodego i przekornego starszego pana — Jean Renoira. „Kapral w matni” jest krytykowany — za niezdecydowanie polityczne, za wątpliwość scenarzysty, a wre-

szcze za niewłaściwy dobór tytułowego aktora. Niezależnie od wszystkich wątpliwości jest to film ambitny, w odróżnieniu od pozostałych, wyżej opisanego. Renoir powtarza i przebudowuje temat podjęty przez siebie w 1963 roku, temat „Towarzyszy broni”. Film bawi i zmusza do refleksji. Autem specjalnym jest w tym filmie Jean Pierre Cassel, który zdołał już zaskarbić sobie względy łódzkiej publiczności w „Dowcipniku” i „Igraszkach miłosnych”. Tak więc jest co oglądać w tym tygodniu — trzeba tylko umieć patrzeć.

E. W.

warto obejrzeć

TV

Olimpiada w Innsbrucku trwa — bywiarze ustąpił miejsca hokeistom w tym tygodniu będą do oglądania co najmniej dwa ciekawe mecze. 7 lutego graja Czesi i Kanadyjczycy, 8 Czesi ze Szwedami. Obfitość transmisji sportowych równoważy trzy ciekawie zapowiadające się spektakle

Teatru TV. Niedziela, 9 lutego, przynosi „Listy spod Wiednia” (Mały Teatr TV, Kraków). Reżyseruje Zygmunt Hübner, w rolach głównych Marta Stebnicka i Leszek Herdegen. Będą to oczywiście listy dzielnego króla i kochającego małżonka, Jana III Sobieskiego, przeznaczona dla rączek i oczu Marysieńki. Król, jak wiadomo, wszedł dzięki tym listom do literatury. Blyszczą tam kunsztem nie mniejszym niż listy klasyka gatunku — panny de Lespinasse, przyswojone polszczyźnie przez Boya. W poniedziałek, 10 lutego warszawski Teatr TV prezentuje „Doktora Judyma”. „Ludzi bez domnych” do potrzeb telewizyjnej przystosował Witold Da-

browski. Reżyseruje Ireneusz Kaniński, graja Zofia Mrozowska (Joasia), Mieczysław Voit, Marjusz Dmochowski, Lech Ma dalski i in. Wreszcie w czwartek, 13 lutego, zupełnie niezwykła „Kobra”: „Doktor Jekyll i Mr Hyde” wg R. L. Stevenson. Reżyseruje Jerzy Antczak, scenografia Jerzego Mastowskiego. Grają Ignacy Machowski, Ryszard Hanin, piękna Alicja Bobrowska, Voit, Strachocki, Zaniczek. Będzie to pierwszy występ w telewizji dobrego doktora Jekylla, który zmienił się w złego Hyde'a. W filmie ta historia o dwoistości natury ludzkiej ma już bogatą tradycję. Rozpoczął ją rok 1912. Potem kolejne adaptacje opowiadania

Stevenson. Przyniósł rok 1920, kiedy Jekylla grał John Barrymore; rok 1932 — tu Jekyllim był Frederic March, a film podpisał Rouben Mamoulian; wreszcie w roku 1961 film o Jekyllu zrealizował Jean Renoir. powierając główną rolę wielkiemu aktorowi i mimowi Jean Louis Barrault. Film Renoira, zatytułowany „Testament doktora Cordeliera”, robiony był techniką telewizyjną, wieloma kamerami jednocześnie. I spektakl Antczaka, już przed premierą utrwaiony na telerecordingu, będzie swego rodzaju filmem telewizyjnym. Dotychczasowe sukcesy Antczaka w tej dziedzinie, np. tak szeroko w prasie literackiej opisywany „Kordian”, po-

zwalają spodziewać się, że i tym razem spotka nasz wydatny artystyczny talent. Mimo, że firmuje go „Kobra”.

Na zakończenie słówko o dwu innych wartych obejrzenia, czy raczej posłuchania, programach bieżącego tygodnia. W ramach cyklu „Wybitni artyści polscy XX w.” w środę, 12 lutego, nadany zostanie recital Haliny Czerny-Stefańskiej. Również w środę warszawska redakcja publicystyczna przedwładza pozycję pt. „Kobieta i zawód”.

J. M.

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98, Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca, — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 328 II 64 F-13